

# TYGODNIK KOBIECY

Nr. 1-2

12 stycznia  
1936 r.

CENA  
50 GR.

*bc. nr. 15  
adm. 10/12*



*L'Oréal*

uiszczona ryczałtem





1. KOMPLET ZŁOŻONY Z KOSTJUMU Z CZARNEJ WEŁNY I OKRYCIA PLUSZOWEGO PODBITEGO WEŁNĄ, Z KTÓREJ ZROBIONO KOSTJUM. MODEL FIRMY MAGGY ROUFF.
2. SUKNIA CZARNA Z CREPE SATIN – OKRYCIE PRZYBIERANE LUTRAMI. MODEL FIRMY MAGGY ROUFF.
3. KAPELUSIK Z CZARNEGO AKSAMITU – PELERYNKA I MANKIETY Z SIWEGO BARANKA. MODEL FIRMY PATOU.

*g. Saad*



# TYGODNIK KOBIET

ORGAN KOBIECEJ SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ.

Rok II Nr. 1 - 2.

19 stycznia 1936 r.

*Redakcja czuje się w obowiązku wytłumaczyć Czytelniczkom przyczyny opóźnienia styczniowych numerów. Wynikło ono z powodu przejścia Tygodnika Kobiety z rąk prywatnych wydawców do rąk Kobiecej Spółdzielni Wydawniczej. Z dniem przejścia przez K. S. W. Tygodnik Kobiety staje się pismem wszystkich kobiet zgromadzonych pod jego sztandarem, naszym wspólnym dobrem, za którego trwałość i rozwój odpowiadamy wspólnie.*

*Spotykając się od pierwszego numeru Tygodnika z przyjaźnią i życzliwym zainteresowaniem Czytelniczek Redakcja prosi wszystkie Prenumeratorki, Czytelniczki i Sympatyczki Tygodnika o wzięcie żywego udziału w rozbudowie pisma. Tylko od nas zależy, aby „nasze pismo” stało się wkrótce tem, czem dawno już powinno być pismo kobiet. Pierwszorzędną treść z uwzględnieniem wszystkich bliskich nam zainteresowań, piękna szata, praca oparta na wspólnym zrozumieniu, przyjaźni i zaufaniu.*

*W myśl tych zamierzeń prosimy Panie Czytelniczki o nadsyłanie nam adresów osób, którym pragnęłyby przesłać numer okazowy Tygodnika, wyjaśniający zmiany, jakie zaszły na terenie wydawnictwa. Równocześnie komunikujemy, że pierwszy numer wydany przez K. S. W. wysyłamy wszystkim Paniom, których nazwiska znajdują się w naszej kartotece, niezależnie od tego, czy opłaciły prenumeratę.*

*Braak pierwszego numeru styczniowego będzie wyrównany wydaniem najbliższych numerów o powiększonej objętości. Licząc na współudział Czytelniczek w rozbudowie Kobiecej Spółdzielni Wydawniczej oczekujemy Ich zgłoszeń i przyjaznego zainteresowania.*

REDAKCJA.

## DO CZYTELNICZEK!

Ciężkie warunki walki o byt stworzyły specjalnie trudne położenie kobiety. W pracy zawodowej i zarobkowej kobieta walczy dziś o zdobycie zarobków i stanowisk równych mężczyźnie a należnych jej z racji wykształcenia i wiadomości fachowych. W rodzinie kobieta dzisiejsza narówni z mężczyzną zdobywać musi środki utrzymania, a nierzadko zdarza się, iż musi na własnych barkach dźwigać ciężar wyżywienia rodziny niezależnie od jej dotychczasowych obowiązków rodzenia i wychowania dzieci oraz prowadzenia gospodarstwa.

Kobieta od wieków ponosi ciężar i odpowiedzialność za wychowanie przyszłych pokoleń. W rękach jej kształtują się charaktery społeczeństw i leży odpowiedzialność za zrównoważenie budżetu, a więc pośrednio i państwa. Rola kobiety w życiu każdego narodu i państwa jest wielka i odpowiedzialna, chociaż niezawsze przez ogół jeszcze doceniana.

Zwyciężyć możemy tylko wielkim zbiorowym wysiłkiem, rozstrzelanie sił zarówno materialnych, jak wartości umysłowych, osłabia wspólny front kobiecy i dla tego ześrodkowanie ich powinno być naszym najbliższym celem.

Jednym z wyrazów jednolitości frontu poszczególnych jednostek jest współdzielczość. Polega ona na skupieniu drobnych wkładów we wspólny kapitał, którego obrót da dochody zarówno udziałowcom, jak umożliwi zrealizowanie projektowanych zamierzeń.

Wobec uświadomienia sobie ciężących na nas obowiązków zarówno w obliczu zagadnień chwili bieżącej, jak konieczności budowania dróg przyszłym pokoleniom kobiet, zawiązała się pierwsza w kraju

### KOBIECA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA.

Ma ona na celu: szerzenie wśród kobiet kultury, oświaty, wiedzy ogólnej i zawodowej, aby im dać do ręki broń w walce o byt.

Wydawanie czasopism, broszur i książek, które wskazywać będą wszechstronne cele kobiece i uczyć ich osiągnięcia.

Urządzanie kursów, poradni, wystaw, pokazów, odczytów, pogadanek, wieczorów dyskusyjnych i t. p.

Organizowanie „domów kobiet”; klubów, domów wypoczynkowych i t. p.



6580



Pierwszym etapem realnej pracy Kobięcej Spółdzielni Wydawniczej jest przejęcie TYGODNIKA KOBIECY, który zogniskuje dokoła siebie pierwszorzędne pióra, umysły i serca, przygotowane do wspólnej pracy.

Tygodnik Kobięcy dokumentować będzie na swych szpaltach obowiązki i prawa kobiety, równouprawnionej obywatelki kraju, referować dążenia, poczynania i dorobki wszystkich związków i stowarzyszeń kobiecych; wkroczy w dziedzinę pracy zarobkowej, zawodowej, kultury, nauki, literatury, sportu i krajoznawstwa, jaknajszerzej ujmie sprawy życia rodzinnego i codziennego, a w szeregu dodatków wyczerpie zagadnienia specjalne.

Tygodnik Kobięcy roznieci w żywy, wieczny płomień słabo tlejącą iskrę kobiecej solidarności, wychowa i przygotowuje kadry przyszłych świadomych obywaterek kraju, będzie pracował zwartym frontem dla lepszego jutra jednostek, budując tem samem lepsze jutro społeczeństwa.

Komitet Organizacyjny K. S. W. wzywa wszystkie zdrowo myślące i świadome swych interesów kobiety do przystąpienia w charakterze członkiń do Spółdzielni, której zasięg w miarę wzrostu zainteresowania obejmie wszystkie zakątki kraju. Pamiętajmy, że zbiorowa siła łamie wszystkie przeszkody i zwalcza wszystkie trudności! Kobięta polska wychowała pokolenia, które wywalczyły wolność kraju! Kobięta polska trzymała zawsze wysoko sztandar swej ludzkiej godności! Dziś, w czasach kryzysu ekonomicznego i moralnego, potrafi ona wykrzesać z siebie siłę wytrwania w walce i zdobyć się na zbiorowy wysiłek, który doprowadzi nas do skonsolidowania zasobów materialnych, moralnych i umysłowych!

### Komitet Organizacyjny Kobięcej Spółdzielni Wydawniczej

Członkiem spółdzielni może być każda kobięta, która ukończyła 18 lat życia

Aby zostać członkiem należy:

Wypełnić deklarację

Wpłacić wpisowe w wysokości 2 zł.

Zadeklarować conajmniej jeden udział, którego wysokość wynosi 10 zł.

Prenumerować stale przynajmniej jedno z czasopism, wydawanych przez Spółdzielnię.

Rozpowszechniać i popierać jej działalność i jej wydawnictwa.

Za zobowiązania Spółdzielni członkowie odpowiadają zadeklarowanemi udziałami.

Zapisy na udziały przyjmuje i wszelkich informacji udziela Komitet Organizacyjny Kobięcej Spółdzielni Wydawniczej i Redakcja Tygodnika Kobięcy — Warszawa, Okólnik 11a, m. 20, tel. 666-35, codziennie, z wyjątkiem niedziel, od g. 11-ej do 15-ej.

## 1935 — 1936

Kiedy bylam mała, zawsze szczerze żalowałam Starego Roku.

Ze to niby świat jest dla niego niesprawiedliwy.

W mojej sześcio i siedmioletniej głowie nie mogło się jakoś pomieścić, że ci sami ludzie, którzy przed 365 dniami z okazji narodzin tego właśnie Roku przynosili dzieciom pączki i ciastka, a sami wybierali się na zabawę lub przewracali do góry nogami dom, urządzając Sylwestra u siebie — teraz z równą radością gotowi są go grzebać i witać jego następcę!

Nie, nigdy, jako dziecko, nie lubiłam pyzatego bobaska z rogiem obfitości, ani wysmukłego młodzieńca (dwa, do znudzenia powtarzające się „symbole“ Nowego Roku) i całą sympatię tkwiłam przy zgrzybiałym starszuszku, któremu dwanaście uderzeń zegara dzwoniło Requiem.

Te antropomorficzne przedstawienia Starego i Nowego Roku sprawiały, że w dziecinnej wyobraźni były

to istoty tajemnicze, żyjące tylko parę dni właściwie. Bo zaraz po Nowym Roku zapominało się o nim gruntownie. Chyba, że zawiódł pokładane w nim nadzieje i porównywano go z poprzednikiem. Nie mówiono jednak już o nim Nowy Rok, ale „ten Rok“, podobnie jak staremu zmieniano tytuł na „tamten“.

Więc dla dziecka było tak: oczekiwany radośnie „nowy“ Rok, który zczasem zamieniał się w niesympatyczny „ten“ rok, przechodzący w okresie między gwiazdką i Sylwestrem w „stary“ i ten sam niesympatyczny, zjawiający się na widowni wspomnień po roku jako dobry „tamten“. Zgodnie z zasadą „de mortuis nil nihil bene“.

Kiedy poszłam do szkoły, rok kalendarzowy zatracił dla mnie znaczenie. O wiele ważniejszy od niego stał się rok szkolny. Od września do czerwca, z cudowną „nijaką“ przerwą wakacyjną. Wakacje sprawiały, że granice między „rokami“ (musze

tu użyć tej niegramatycznej formy) nie występowały ostro. Rok szkolny, który się kończył, nikomu nie musiał odstępować berła ani korony. Zamykał pewien okres młodego życia; niczego nie uśmiercając. Następowało po nim rozkoszne „nic“ letnie, z którego na jesieni strzelały w górę pędy innego roku szkolnego.

Kiedy zamykam oczy — widzę te dwa czasokresy — rok szkolny i kalendarzowy — jak dwa koła przecinające się w dwu punktach: Gwiazdki i Wielkanocy. Poza tem każdy tworzył oddzielną linię zamkniętą.

Z czasem przyszły koła inne; koło pracy rozpoczętej i skończonej, koło wojny, koło szczęścia... Każde zamknięte w sobie, lub urwane, gdzieś w jakimś punkcie zawadzające o kalendarz, który jest jednak tą umowną, dla wszystkich zrozumiałą miarą czasu.

Takie i inne refleksje uparcie przy-



chodzą mi do głowy w chwili najmniej odpowiedniej, kiedy na wyrażenie żądanie pani redaktorki mam pisać wstępny artykuł nieomal że noworoczny. Tradycyjnie na artykuł taki składają się życzenia, krótki przegląd ubiegłych miesięcy — coś jakby rachunek publicznego sumienia — i garść entuzjazmu na przyszłość.

Zaczynam od życzeń. I już zaraz z nimi skończę. Z pewnością są najserdeczniejsze i najżyczliwsze ze wszystkich, jakie was w tym roku dobiegły. Więc po co je wyliczać? Wystarczy życzyć wam, żeby rok 1936 nie zawiódł pokładanych w nim nadziei, i wytrzymał próbę porównania z rokiem 1935, o którym obyśmy nie mówili: „był lepszy”.

Bo jakkolwiek rok ten potem historia oceni — dziś już wiemy, że nie był to rok jak wiele innych, że był to rok t r u d n y.

Rok ten przyniósł nam nową Konstytucję i nową ordynację wyborczą, które umożliwią ustrojową przebudowę państwa. Wznowienie władzy prezydenta — oparcie Izb Ustawodawczych o twórczą współpracę posłów czy senatorów, podcięcie korzeni zgubnemu partyjnictwu, które tak niepowetowane szkody wyrządziło nowopowstającemu Państwu Polskiemu — oto w najprymitywniejszym skrócie tych kilka zdobyczy, które nam ten trudny rok przyniósł.

Trudny, bo odszedł od nas Ten, kto nadługo, zanim Polska powstała, wziął na siebie odpowiedzialność za losy kraju. Jakiegokolwiek są nasze przekonania polityczne czy społeczne, jakiegokolwiek był nasz osobisty stosunek do Marszałka Piłsudskiego — czujemy, że śmierć Jego zakończyła pewien okres w życiu naszego narodu i że był to Mąż ponad zwykłą miarę ludzi wielkich. Śmierć Marszałka Piłsudskiego żalobną wstęgą przecięła rok 1935 i zaczęła na wspomnieniu o nim.

Tak, był to rok trudny dla państwa i dla społeczeństwa. Dla państwa — bo musiało wypracować nowe formy, umożliwiające dalszy rozwój, dla społeczeństwa, bo musiało formy te przetrwać i nauczyć się do nich dostosowywać. Nauka ta dopiero się rozpoczyna i niejedyn jeszcze zgrzyt pewnością wywoła. Myślenie kategorjami czysto obywatelskimi, z wykluczeniem osobistego interesu, z podporządkowaniem swojej korzyści dobru ogólnemu — to umiejętność, którą się nabywa z czasem. Polska jest państwem młodem i my, abstrahując od naszych indywidualnych lat, jesteśmy jeszcze „młodymi” obywatelami. Dlatego tak często przeciwstawiamy sobie — państwu, dlatego tak ostro krytykujemy, dlatego tak niechętnie — słuchamy!

Na usprawiedliwienie nasze powiedzieć można, że rok ten był naprawdę trudny, zwłaszcza dla nas, kobiet.

Przeżyłyśmy, mniejsza o to, z czyjej winy, bo w tej chwili chodzi tylko o skonstatowanie faktu! — w wyborach. Żyjemy pod groźbą redukcji mężatek. Kto wie, czy nie pod groźbą redukcji kobiet wogóle. Świat, który po wojnie uznał nas za pełnoprawne obywatelki, gwałtownie prawa te chce nam odebrać. Z tym „światem” bynajmniej nie jest przesada:

Kobietologia staje się objawem naęminnym.

Trudny był ten rok jeszcze i dlatego, że stał się rokiem nowej wojny. Cztery lata „Wielkiej Wojny”, wielkich niedających się obliczyć strat materialnych nauczyły ludzkość albo bardzo mało, albo zgoła nic. W każdym razie nie nauczyły jej rozwiązywania konfliktów międzynarodowych na drodze innej niż walka orężna.

Wojna, oczywiście, nigdy nie może być prowadzona w rękawiczkach. W założeniu swem jest brutalną,

okrutną, nieprzebierającą w środkach. Są jednak jeszcze rzeczy, których szanująca się armia nie może się dopuścić. Ostrzelywanie szpitali. Rzucanie bomb na bezbronne osady. Kule dum-dum. Niestety, wojna włosko-abisyńska pokazała, że nasz osławiony humanitaryzm europejski nie tak daleko odbiega od afrykańskiego barbarzyństwa...

Rok 1936?

Rzecz to ryzykowna bawić się w przepowiednie. Pyzaty bobasek z rogiem obfitości ma twarz bez wyrazu. Druga odmiana Nowego Roku — efektowny młodzieniec — uśmiecha się uprzejmie. Tak samo uśmiechał się przed rokiem Stary Rok, którego złożyły do grobu dwie wskazówki zegara, skoro się spotkały na godzinie dwunastej.

Dziś go nie lubimy. Żegnamy bez żalu. Był trudny, nieustępliwy, wysuwał światu wiele zagadnień, których nie potrafił rozwiązać. Będzie się nad nimi musiał napracować Nowy Rok.

Życzymy mu, aby się z nimi najlepiej uporał i nie zasłużył sobie na wyrzuty, że jest „jeszcze gorszy”.

Gorszy od 1935 — to nam się dziś wydaje niemożliwe!

Ale kto wie, czy za miesiąc, za dwa, za pół roku nie będziemy wdychać do staruszka, którego dziś z uczuciem ulgi pożegnaliśmy. I wcale nie dlatego, że Nowy, który przybył do nas z taką hałaśliwą swadą, potem na takie westchnienie zasłużył.

Nie. Poprostu dlatego, że ludzką jest rzeczą żałować tego co minęło, i narzekać na to co jest. Nawet gdyby to „jest” było bezwzględnie lepsze.

Pomimo całej sympatji do nielubiącego w tej chwili staruszka, życzę Wam i sobie, byśmy go nigdy za wzór temu „nowemu” 1936 stawiać nie potrzebowały.

Zofja Popławska.

## DOM POD PRZYJAZNĄ RĘKĄ

Mówią, że noc jest błogosławieństwem, bo zysła sen i zapomnienie... Bywa tak istotnie, jeżeli się śpi w domu i w wygodnym łóżku. Ale, jeżeli się zdarzy, że los zapędzi gdzieś w ubogi kąt, albo na twardą grdycę domu noclegowego, wtedy błogosławieństwem staje się nieraz dzień.

Nabiera on tem większej wartości, jeżeli ma się dokąd pójść, jeżeli trafia się dom, wprawdzie nie własny, ale jednak swój!

Wtedy nie żal wstać rano i iść chociażby przez bardzo odległe ulice. Czasem wypada dostawać się z poza miasta, długo i uciążliwie, do oczekiwanego celu.

Jest nim „herbaciarnia” na Miodowej dla bezrobotnych pracowników umysłowych, prowadzona przez Unję Polskich Związków Obronczyń Ojczyzny, pod przewodnictwem pani Marszałkowej Piłsudskiej.

W dużej sieni wita dyżurny, sprawdzający ewidencję na zasadzie karty bezrobocia, wydanej przez Urząd Pośrednictwa pracy.

Na zmianę bywa po pięciu dyżurnych, kontrolujących karty wejścia, które uprawniają do pobytu w Herbaciarni.

W dużej sali stoją wieszadła, na których można zawiesić wierzchnie ubranie i cicho obraca się wentylator.

Jest ciepło, czysto. Na białe umyte stoły pada światło. Cicho szumi kuchenka gazowa, na której grzeją się stale płyny i potrawy. Za oszklonym bufetem uwijają się dyżurne panie, leżą na półmiskach poukładane potrawy. Duże kawałki chleba z „nasmarowaniem”. Kosztują 5 groszy tak samo, jak szklanka kawy lub herbaty. Słodzona kawa (2½ kilo dziennie) bulgoce w kuchennych kotłach.

Od dziewiątej rano do dwunastej trwa wydawanie śniadań. Ale przymusu niema. Je kto chce i kto... może. W południe rozlega się głos pani kierowniczk:

— Proszę państwa, dochodzi dwu-



nasta. Państwo będą łaskawi się rozchodzić.

— Ooo. Już — odpowiadają liczne głosy. I zaraz zbierają się leniwie ci, co chcieliby pozostać tu jaknajdłużej.

Od południa do trzeciej trwa wietrzenie sali jadalnej i świetlicy, mieszczącej się tuż obok na górze, po schodkach. Od trzeciej do piątej czynna jest tylko świetlica, to znaczy czytanie pism i książek. A potem, od piątej do dziewiątej, wydawanie kolacji. Gorąca zupa z kartoflami za 15 gr., chleby nasmarowane, kawa, herbata. Dziennie 200 — 300 porcyj.

Wszystko podane kulturalnie w szklankach, na talerzach, chleb brany łożatką, kładziony na talerzyku i tak wydawany z bufetu. Każdy potrawy zabiera własnorecznie. Służba tylko sprząta brudne naczynia. Samopomocy w pracy nie można było zorganizować. Jest tylko samorzutna podczas obchodów i uroczystości.

Klienci herbaciarni są zmęczeni życiem, poszukiwaniem pracy, niedolą i przebłyskami nadziei. Ale tu, w tej herbaciarni odpoczywają, zawierają znajomości, ogrzewają się i dożywają. Przed każdą i każdym z nich leży szereg godzin, podczas których może spokojnie czytać, drzemać, robić roboty ręczne, coś naprawiać, słuchać radja. Szachy i warcaby są do dyspozycji, a szatnia nieobowiązująca. Niektórzy są tak przemarznięci!..

Podczas 3-godzinnej przerwy w funkcjonowaniu świetlicy chodzą na poszukiwanie pracy, siedzą po dworcach, sądach, gdzie się da.

— Bezdomni przeważnie — mówi ktoś z Zarządu. A jak kto dostanie pracę, to najpierw składa pieniądze na ubranie. Potem myśli o własnym kącie. Bez przyzwoitego ubrania pracować przecież nie może. Zorganizowaliśmy tu *samopomoc odzieżową*.

Wszelkie dary przyjmujemy z wdzięcznością, byleby były istotnie praktyczne i do włożenia. Nie tak, jak pantofelki 34 nr., które długo będą czekały na właścicielkę. A teraz zimno...

Teraz zimno! Więc zarząd kłopotce się i o węgiel, który daje Fundusz pracy i o ciepło na sali i w świetlicy i o to, żeby potrawy były gorące. I o *opiekę lekarską*, bo wielu klientów nosi jeszcze letnią odzież, a z butami żyje w wiecznym nieporozumieniu. Na miejscu jest poza tem apteczka, udzielająca odręcznej pomocy.

Tak samo, jak pomocy, udziela *kasa pożyczek*, która wydaje pożyczki od 10 gr. „Kapitał zakładowy” wynosił 2 zł., a rozrósł się do 30 zł., dzięki prywatnym ofiarom i wkładkom tych gości, którzy pracę dostali.

Bo to jest gorący, samorzutny, niepowstrzymany oddech, ta złotówka lub mniej, złożona do kasy, za to, że kiedyś samemu się z niej korzystało.

— Pamiętam, jak taka pożyczka ratowała mnie nieraz od głodu! — mówi ex - bezrobotny. To dla wielu także podtrzymanie moralne. Dodaje odwagi do przetrwania.

Rozgoryczonych, zwątpiałych, apatycznych jest wielu. Szczególniej kobiety starsze siedzą, jakby otępiałe. Trzymają się grupami, rozparte wygodnie na krzesłach, odpoczywają przed długą nocą. Ktoś tam ceruje, robi szydełkiem. Ktoś gawędzi z niejakim ożywieniem. Ale wogóle, „one” czytają mniej i licznie przedstawiają mniejszą grupę.

Czasem zachodzi ewenement. Ktoś się z kimś... zaręczy. Zwalczanie trudnej doli w dwoje wydaje się zawsze łatwiejsze. Można pograć w którąś z gier towarzyskich, poczytać, pogawędzić.

Właśnie, panie dyżurne wydają książki i pełnią dyżury w kasie, za-

łatwiając klientów w sposób serdeczny. Sprawdza się listę tych 16 osób, które zbyt przyciśnięte niedolą, nie są w stanie płacić ani grosza i dostają wszystko zadarmo. Wśród tych, co płacą, widać głęboką rozważę w wydawaniu pieniędzy.

— Mam 20 gr. — to musi przecież na dwa dni wystarczyć — mówi ktoś, kupując chleb ze śledziem i herbatę.

Można przynieść i własne pożywienie i brać tylko wodę gorącą. Przymusu wogóle niema. Ale czujne oko dyżurnych pań i kierowniczeki wyszukują w tłumie tych, komu właśnie trzeba dziś pomoc koniecznie. Załatwiane to jest w sposób kulturalny i głęboko przyjacielski.

Rozmowy są naogół przyciszone, ale od czasu do czasu słychać śmiech dyskretny. Pada jakiś dowcip, słychać przezwiska. Stale zżyci ze sobą bywalcy, pozwalają sobie na ten pewien stopień mile widzianej poufałości. Wrodzona inteligencja i kultura trzymają wszystkich w granicach właściwego, uprzejmego i kulturalnego zachowania.

Dzień po dniu schodzą się do swojej herbaciarni ci wszyscy ludzie, których życie postawiło w ciężki i trudny do przetrwania okres bezrobocia. Jedno czy ono wszystkich: młodych i starych mniej i bardziej wykształconych, kobiety i mężczyzn. Przygnębionych, aż do granic apatii i zawsze pełnych zaufania.

Tu w cieple i przy świetle lamp, w atmosferze serdecznego zrozumienia i przyjacielskiej pomocy, odpoczywają, rozprężają nerwy, ujawniają żale i nadzieje. I jakoś lżej im trwać w oczekiwaniu na zmianę warunków, na otrzymanie pracy, której pragną nadewszystko.

Marja Dobrowolska.

## POMNIK PRACY I DOBREJ WOLI

Nikt nigdy nie widział, byśmy stały na ulicy z puszką do zbierania kwęsty publicznej. Nie mamy żadnych subwencji miejskich, ani rządowych. Jeszcze nigdy nie skarżono się na natarczywość w upominaniu się o hojne datki na propagowany przez nas cel.

A jednak warto przyjrzeć się wynikom pracy, wynikiem wielkiego wysiłku i poświęcenia, którego pomnikiem można nazwać wielki zakład sierocy na 100 dziewczynek, w górskiej miejscowości Jeleśni.

Już w czasie wojny towarzystwo, o którym piszę, pod nazwą T. O. M. opiekowało się sierotami wojennymi w liczbie 3.000. Organizowało kolonje

wakacyjne, wysyłając na zbawczą wieś ponad 500 dzieci ze szkół krakowskich.

Praca dorywcza nie odpowiadała Towarzystwu" ochrony dzieci i młodzieży. Dążyło ono do zorganizowania systematycznej pracy od podstaw. Zajął się tedy opieką nad niemowlętami, zwłaszcza, iż dział ten w Małopolsce był zupełnie zaniedbany. T. O. M., grupa krakowskich pań pod przewodnictwem prezydentowej Krakowa, rozwinęła imponującą działalność. Towarzystwo to było pierwszym, które na terenie naszego miasta stworzyło liczne stacje opieki nad matką i dzieckiem.

Stacje te działają dotychczas, nio-

sąc porady lekarskie matkom i dzieciom, uświadczenie higieniczne i często datki natury materialnej w postaci mleka, lub odzieży.

Od roku 1924, przez lat pięć, prowadzi T. O. M. bursę dla młodych dziewcząt, z których wyszły przyszłe wychowawczynie i nauczycielki zakładu w Jeleśni.

Dom w Jeleśni został zapisany sierotom przez bogatą mieszczańkę żywiecką, p. Meczyworową. Dom ten, z kawałem pola, nie był dostosowany do potrzeb zakładu wychowawczego. Musiano dobudować piętro, a kawał pola leżący odłogiem, zamienić w ogród.

I mocą wielkiego wysiłku i najlep-



szej woli, stanął gmach sierocy, mogący być wzorem dla wszystkich innych.

Zdumiewa już sam kawał nieurodzajnego pola, zamienionego przez dzielną ogrodniczkę w kwitnący ogród. Jest tu i sad z młodych, delikatnych drzewek, jest ogród warzywny, dostarczający wszystkich jarzyn zakładowi. Są tu i kwiaty, które się sprzedaje do miasta. Ogrodniczka, to postać twarda i wspaniała, na miarę północnych powieści. Ślązaczka, z tych szlacheśnych starych rodzin śląskich wieśniaków, przywiązanych głęboko i namiętnie do ziemi. Całe gospodarstwo zresztą dźwiga na swych stalowych barkach, doprowadzając je do rozkwitu. Są tu krowy, świny, kurczęta, kaczki i króliki.

Jeleśnia dąży do samowystarczalności ekonomicznej!

Kierowniczką zakładu jest sierota, wychowana w bursie T. O. M. Może dlatego panuje tu zupełnie rodzinny nastrój. Dużo serca i zrozumienia dla doli sieroczej! Zakład nie przypomina surowych internatów, czy burs sieroczych. Jest to jedna wielka rodzina, podzielona na zupełnie małe dzieci, dziewczynki średnie i już prawie dorosłe, które, nie mając oparcia w życiu, zostają w zakładzie niekiedy dłużej, zajmując się gospodarstwem, hodowlą drobiu lub ogrodem.

Malutkie mają swoje przedszkole, pełne zabawek i wycinanek. Wszystkie przyjechały tu z sinem piętym nędzy na wychudłych policzkach, z powykrecanymi wilgocią nogami i wzdętymi brzuskami przez ciągłe jedzenie suchych kartofli. Już po paru tygodniach nabierają świeżej cery, a po kilku miesiącach rozwijają się normalnie i zdrowo.

Warto zobaczyć ten korowód dziecięcych szkieletów, przybywających do zakładu w Jelesni.

Wprowadzone z zimnych, wilgot-



Zakład opiekuńczy T. O. M. w Jelesni...

nych suteryn, kwitną poprostu w białych słonecznych sypialniach i widnych jadalniach, gdzie im podają potrawy smaczne, proste i zdrowe.

Kucharką, gotującą dla stu osób, jest młoda dziewczyna, po maturze gimnazjalnej, absolwentka seminarjum gospodarczego w Krakowie. Dzielność tej młodej dziewczyny jest wprost porywająca. Rzucona na samotną wieś, zaprzężona do ogromnej pracy, stoi z uśmiechem na ustach od szóstej rano, mieszając w olbrzymich kotłach i rozdzielając pożywienie na porcje.

Przykład jej działa zbawiennie na dziewczynki, dla których prosta, ciężka praca zdaje się być tylko przeznaczona dla nędzarzy, z szeregu których gwałtem chcą się wyrwać, pogardzając taką pracą.

Nauka, rozrywka i odpoczynek, są tu doskonale zorganizowane przez wychowawczynię, przeważnie sieroty.

Dwie z tych wychowawczyń wyszły dobrze zamaż, roznosząc sławę

solidnych, pracowitych i uczciwych dziewcząt.

Wszystko to wydaje się nieprawdopodobne w czasach gdy mówi się, piśze i interesuje tylko sprawami złemi, smutnymi i szaremi.

A jednak to tylko reportaż na podstawie najprawdziwszych faktów.

Można je stwierdzić w każdej chwili.

W białym, dwupiętrowym domu zakładu, od dziesięciu lat rośnie, cieszy się i wyrasta na dzielnych ludzi, sto dziewczynek wyrwanych nędzy!

Ale teraz kwestja najważniejsza.

Jak utrzymać to wszystko bez subwencji, bez karoty publicznej i kwest?

Towarzystwo T. O. M. ma kilkaset członkiń, które nietylko składają owe pięćdziesiąt groszy miesięcznie, lecz każda z nich pracuje dla dobra społeczeństwa z największym wysiłkiem.

Miesiąc w miesiąc organizuje się kursy trykotarstwa, rękawicznictwa, bielizniarstwa i krawiecczyni. Panie poświęcają swój czas, ucząc na kursach bezpłatnie, dochód przelewając na cele instytucji. Stale urządza się pokazy robót kobiecych na wystawach publicznych. Sprzedaje się kartki świąteczne, ozdoby choinkowe, oraz organizuje pogadanki i odczyty dla członkiń z herbatkami płatnemi. Parę razy w roku urządza się wielkie imprezy teatralne, które popiera cały kulturalny Kraków, wykupując bilety na wspomniane imprezy.

Wiele z nich, jak żywe obrazy starych mistrzów, uosobione przez panie z krakowskiego towarzystwa, pozostały niezatarte wspomnienie u widzów.

Towarzystwo nigdy nie odpoczywa i nigdy nie może zapomnieć, że tyl-



Wiosenny obiad w ogrodzie...



ko wspólna, wyteżająca praca stworzyła dzieło, na które można spojrzeć z prawdziwą dumą.

Ileż pola do okazania swego serca i zrozumienia niedoli ludzkiej. W okresie wysyłania dzieci na kolonje do Jeleśni, każda podarta sukienka, każda drobnostka, wyrzucona na śmietnik, przedstawia rzecz wielkiej wagi. A ileż radości w małym światku dziecięcym z każdego drobiazgu, przyslanego przez anonimowych dobroczyńców.

Do T.O.M. należę zaledwie cztery lata i żałuję każdego zmarnowanego roku, niewypełnionego pracą dla pozytywnej i dzielnej instytucji.

*Irena Szczepańska.*



*Malutkie dziewczynki pod opieką starszych koleżanek.*

# ZAKONSPIROWANE MAŁŻEŃSTWA

Z CYKLU „KOBIEТЫ O SOBIE“

Krzywdząca setki kobiet zapowiedziana obecnie nowa redukcja mężatek, zmusza mnie do omówienia tego problemu obszerniej na łamach pisma, poświęconego specjalnie wszelkim zagadnieniom życia kobiecego. Palącą i wzbudzającą zarazem ogólne zainteresowanie jest dzisiaj sprawa dalszych losów kobiet zamężnych, które mają być odrzucone od swoich warsztatów pracy, nawet w wypadkach, gdy smutna konieczność lub umiłowanie zawodu zmusza je do zarobkowania.

Piętą achillesową dla kobiet pracujących zawodowo jest wisząca nad nimi od szeregu lat groźba „**redukcji mężatek**“. Jest to najstraszniejszy, a zarazem najgroźniejszy wyrzutek, jaki zaciążył nad kobietą w Polsce. Trudno być przez całe życie panną i ze względów fizjologicznych i czysto życiowych. Utrzymanie zaś przez całe życie przy sobie jednego mężczyzny w charakterze przyjaciela ma słabe szanse powodzenia. Znowu częste ich zmienianie powoduje o kobietach fałszywą opinię „łatwej zdobyczy“, lub „niemoralnej kobiety“. Poza to prawo kościelne domaga się od kobiety ulegalizowania współżycia z mężczyzną i założenia rodziny, oraz rodzenia legalnych dzieci. Mężatkom zaś niewolno pracować.

To też w konsekwencji wytworzyły się sytuacje absurdalne, z których dla przykładu podajemy jedną: po wielu tarapatkach i trudnościach życiowych znajduje sobie wreszcie kobieta pracującą umysłowo towarzysza wędrowni życia. Nie jest on naturalnie w większości wypadków dygni-

tarzem, ani bogaczem, ot, poprostu najczęściej „kolegą biurowym“, znany dobrze z kina i kawiarni, oraz letnich wycieczek i spacerów. Jest on naturalnie o wiele lepiej uposażony od niej, ale znów nie posiada środków na całkowite wyżywienie i ubranie żony, a, co gorsza, mogącego nadejść ewentualnie potomstwa. Zaczynają się długie i mozolne obrachunki, trwające całymi tygodniami, a tak, niestety, dobrze znane już całemu światu urzędniczemu w Polsce.

Kochają się, pragną założyć legalną rodzinę, ale cóż, na przeszkodzie staje im ów dziwny obyczaj, zabraniający pozostawaniu na służbie państwowej mężatce, zwłaszcza jeżeli mąż pracuje w tej samej instytucji.

Zaczyna się druga serja narad. Tym razem innej natury. Już nie rachują swoich mizernych dochodów, ale obmyślają serję forteli, któreby pozwoliły na najdłuższe ukrycie ich legalnego związku. Najczęściej potem program życiowy układa się tak, że ona zamieszkuje nadal u siebie, a on u siebie. Widują się dorywczo w biurze, jedzą razem obiad, popołudniu składają sobie wzajemnie wizyty, a potem... wracają do siebie. Czuwać muszą przytem baczenie, aby żadne niepoważne oko, ani ucho nie podchwyciło ich tajemnicy. Pierwszy lepszy bowiem donos, spowodowany głupotą, zazdrością, lub zemstą osobistą, może zburzyć cały tak mozolnie konstruowany gmach sztucznej wegetacji rodzinnej.

Oto nowa forma życia rodzinnego, z góry pozbawionego potomstwa, kryjącego się, jak z największą zbrodnią,

ze swoim ulegalizowanym małżeństwem. A wszystko razem dzieje się dla zdobycia jeszcze 150 lub 200 złotych miesięcznie, które pozwoliłyby na trochę jaśniejsze przebliski życia codziennego.

W rezultacie dzisiejsze kobiety pracujące umysłowo nawet za stosunkowo skromnym uposażeniem, wolą mieć opinię „panny z przyjacielem“, aniżeli legalnej mężatki.

Z anomalją tą łączy się bardzo ściśle druga serja małżeństw, żyjących nibyto w separacji. Ci także spotykają się muszą ukradkiem i starać dowieść na każdym kroku, że już ich nic nie łączy poza wspólnym nazwiskiem.

Ukrywanie małżeństwa ma jednak tę ciemną stronę, że z chwilą ujawnienia takiego nadużycia przez zainteresowane władze lub instytucję, następuje momentalnie zwolnienie mężatki bez wymówienia jako kara za wprowadzanie w błąd władzy.

Jak widzimy, smutną naprawdę w skutkach jest usankcjonowana zgóry redukcja mężatek. Stawia ona bowiem kobietę poza trudnościami natury finansowej w bardzo przykrem położeniu moralnym. Kobiety kształcą się przecież w pracy zawodowej, całymi latami przygotowują się do samodzielnej pracy, a wkońcu kiedy uzyskują już dyplom i stanowisko, każe się im bezapelacyjnie wybierać między pracą a sercem. Trzeciego wyjścia niema. Kobieta musi albo zdecydować się na pozostanie przez całe życie panną, albo zrzec się pracy, w którą kładzie często cały swój zapal i wiedzę.

*Marja Szachówna.*



William Locke

# Urzurpator

Przekład autoryzowany  
Ludwiki Ciechanowieckiej  
Powieść

## STRESZCZENIE

Jasper Vellacot, obywatel angielski, po zdobyciu wielkiego majątku w Australji, przenosi się do rodzinnej Anglii i zaznacza swój współdziałal w pracy społecznej—szeregiem dzieł filantropijnych. W dniu uroczystego otwarcia ufundowanego przez niego szpitala, w jednej z podmiejskich miejscowości Londynu, poznaje Jasper Vellacot młodą damę z arystokracji angielskiej, która wywiera na nim silne wrażenie. W toku rozmowy dowiaduje się Vellacot, że uważa go ona za swego kuzyna. Milknie zmieszany, a czytelnik odnosi wrażenie, że nad nazwiskiem australijskiego bogacza ciąży jakaś tajemnica. Tymczasem jeden z obecnych, major Sparling, przewodniczący komitetu stronnictwa konserwatystów, podchodzi do Vellacot'a i proponuje mu współdziałal w pracy swego stronnictwa. Vellacot zgadza się w zasadzie.

Chcąc uniknąć spotkań i zaproszeń młodej kobiety, która go oczarowała, a której postanawia unikać, wyjeżdża na kurację do Aix, — ale tam właśnie spędza i ona letnie wycieczki ze swą ciotką. Znajomość zacieśnia się i Vellacot zdaje się pogodzony z miłą fatalnością, która mu każe zakochać się na dobre. Wyjeżdża wszakże bez pożegnania i nagle, — usiłując bronić się raz jeszcze. W Londynie wszakże widzi, że sprawa jest przesądzona. Piękna pani, Alicja Harden, darzy go wielką życzliwością i wyróżnia. Przez nią poznaje interesującego poetę Tredgolda, z którym spędza parę miłych chwil, wreszcie na życzenie Alicji przesyła jej bilet wstępu do Izby Gmin, gdzie zamierza wygłosić swą pierwszą mowę publiczną.

Niepokoiliła się o Jaspera. Czy aby się nie załamie, czy zdoła przekonać odporne audytorjum... W razie porażki obiecywała mu w duchu słodką nagrodę. Postanowiła być dla niego bardzo serdeczną. Podobała się sama sobie w roli pocieszycielki. Było jej z tem do twarzy. Uśmiechnęła się do swych myśli, ocknęła się jednak zaraz i zaczęła zapinać rękawiczki z obojętnym wyrazem twarzy.

Sala Izby Gmin była prawie pusta, a w ciszy, która ją zalegała słychać było tylko wątyły, a monotony głos mówcy. Toczyła się właśnie dyskusja, na temat nowych ustaw rządu. Dopiero gdy Speaker wrócił z bufetu, sala zapełniła się posłami. W pewnej chwili, przez drzwi, znajdujące się pod galerją prasową, wszedł Jasper i wszczął rozmowę, z którymś z urzędników, siedzących przy stole. Potem podniósł głowę i ogarnął wzrokiem galerję, przeznaczoną dla pań. Alicja skinęła nań wachlarzem, lecz jej widocznie nie zauważył, bo nie uśmiechnął się i skierował się w głąb sali.

Minęło półtorej godziny, zanim przyszła kolej na wniosek Jaspera. Opozycja piętnowała nową ustawę, wykazując czarno na białem, że jest zlepkiem starych ustaw, a bynajmniej nie nowym, radykalnym projektem, za jaki chce uchodzić. Minister odpowiedzialnego resortu, apelował do zgromadzenia, by zechciało w zasadzie uchwalić ustawę. Poprawka Jas-

pera jedynie rozszerzała zakres niektórych klauzul, nadając ustawie bardziej humanitarny charakter.

Skoro Jasper zabrał głos, zgromadzenie, zwykle dość niesforne, zaczęło mu się przysłuchiwać z zajęciem. Niedarmo Jasper otoczony był legendą, jako krezus o bujnej przeszłości. Na jego temat, krążyły fantastyczne anegdoty, odnoszące się do jego przygód i osobliwego trybu życia, nieodpowiadającego pojęciu, jakie szeroki ogół zna o milionerach.

Lady Alicja dumna była, że znajomy jej wywołuje taki efekt. Lecz gdy Jasper zaczął mówić, drżącym ze zdenerwowania głosem, z trudem dobierając słowa, Alicja kurczowo zacisnęła dłoń, na rękojeści kościanego wachlarzyka.

Głos Jaspera nabierał stopniowo mocy, słowa płynęły coraz potoczysiej... W miarę jak się zapalał coraz częściej używał wyrażen, jakimi posługują się australijscy koloniści. Twarz jego nabrała srogiego wyrazu, przygarbione ramiona rozprostowały się, z całej postawy biła pewność siebie. Izba Gmin, słuchała go z widocznym zadowoleniem.

Po skończonej mowie zerwały się huczne oklaski, które podziały na oczarowaną i wzruszoną Alicję, jak tusz zimnej wody; głos Jaspera obudził w jej sercu jakąś tajemną strunę, której nawet oklaski, nie były w stanie zagłuszyć. Spojrzała na wachlarzyk. Delikatna rękojeść pękła na dwoje.

— Jakaż jestem niemądra, żeby się aż tak przejmować — pomyślała Alicja. Czy warto było mieć tremę.

Zainteresowany minister nie szczędził słów krytyki projektowi Jaspera. Nieomieszkał jednak złożyć uprzejmego ukłonu, w stronę Jaspera, w uznaniu dla jego szczerości i elokwencji, lecz wskazał na trudności, jakie mogłyby wyniknąć wskutek wprowadzenia poprawki, dla prawników realizujących projekt rządowy.

Logiczne wywody ministra zirytowały Lady Alicję, zaś gdy Jasper zgodził się wycofać swój wniosek, za cenę mglistej obietnicy, że dziedziny nie objęte przez ustawę znajdą się w przyszłości w orbicie zarządzeń nowego gabinetu, drzemające w niej pierwotne instynkty, pożyły zwycięstwa, osiągniętego choćby za cenę krwi.

Przyznała się do tego Jasperowi, gdy się spotkali w kularach galerji, podczas drugiego czytania ustawy.

— Wcale nie zamierzałem obalić rządu — rzekł, śmiejąc się, Jasper. — Coby na to powiedzieli moi wyborcy... Wielka to rzecz, że wydobyłem tego rządu przyrzeczenie.



W pierwszej chwili zdawało mi się, że poniosę porażkę.

— A mnie to nawet na myśl nie przyszło — skłamała Alicja. — W każdym razie, dodała, musnąwszy wzrokiem złamany wachlarz — pod koniec pańskiej mowy, byłam pewna zwycięstwa. Z chwilą gdy pan wypłynął na szerokie wody, był pan wspinały. Dumna jestem z pana. Tak bardzo pragnę, żeby pan i tutaj stał się potentatem. Będzie pan mógł puszcząć w ruch potężną państwową maszynę... To musi być cudowne uczucie.

— Nie trzeba zapominać — przerwał jej Jasper — że oprócz mnie jest tutaj sześciuset sześćdziesięciu dziewięciu ambitnych maszynistów...

— Ale pan będzie głównym mechanikiem — odrzekła Alicja.

Nieopisana radość zalała serce Jaspera. Podniecała go świadomość, że odniósł sukces, a obecność ubóstwianej istoty, wierzącej w niego ślepo, wprawiała go w błogi nastrój. Miał wrażenie, że mu wyrastają skrzydła u ramion.

— Pochwała z pani ust... jedynie pani pochwała — plół bez związku — warto o to walczyć do ostatniej kropli krwi...

— Czy pan to mówi poważnie? — zapytała z przejęciem.

— Czy mówię poważnie? — Ależ naturalnie.

— Ach, jak to miło — szepnęła. — Zapamiętam to sobie, na zawsze...

W orzechowych jej oczach jaśniała radość.

— Największym sukcesem jaki osiągnąłem w życiu — odezwał się Jasper — było zjednanie sobie pani życzliwości. Dumny jestem z tego.

Odprowadził ją po schodach do wielkiego przedzionka i pomógł jej wsiąść do karety.

— Czy pani jedzie do domu? — zapytał, wsuwając głowę w otwarte okienko.

Zawahała się. Nie myślała o tem, dokąd pojedzie wracając z Izby Gmin, ale w tej chwili poczuła nieprzewartą chęć, ujrzenia poety. Tegoż wieczora Bunny miał uczestniczyć w przyjęciu, na które i ją zaproszono. Nie dała konkretnej odpowiedzi, gdyż nie wiedziała, czy Jasper nie zatrzyma jej po posiedzeniu.

— Niech pan powie stangretowi — zwróciła się do Jaspera — żeby jechał na Eccleston Square do domu pani Durfey.

Spotkało ją jednakowoż rozczarowanie. W salonach pani Durfey nie było Bunnego. Wypatrywała go bezskutecznie do końca wieczora.

Wróciła do domu zawiedziona i zirytowana. Żałowała, że nie zabrała ze sobą Jaspera, lecz przypomniała sobie zaraz, że był nieodpowiednio ubrany. Zapuszczała się w myślach, w labirynt ślepych zaułków, aż wreszcie, układając się do snu, rzekła do siebie, że życie jest głupią komedią, a w każdym razie źródłem przykrości i rozczarowań.

Tymczasem Jasper Vellacot wracał do domu z sercem przepelnionem radością. Występ w Izbie Gmin udał się. Za jednym zamachem zdobył godną pozazdrosczenia pozycję i osiągnął to, do czego dążył. Mowy jego słuchano z uznaniem i szacunkiem.

Wprawdzie projekt jego dotyczy polepszenia bytu robotników i nie da się wprowadzić w czyn prędzej, niż za trzy lata, ale za to będzie można wyjednać od rządu szereg ustępstw. Jest już przecież teraz jednym z maszynistów, kierujących państwowym aparatem. Przypomniał sobie swoją rozmowę z Alicją. I jemu udzielał się zapał, z jakim do niego przemawiała! Gotów był skoczyć do piekła, aby raz jeszcze zapalić w jej oczach błysk en-

tuzjazmu. Dlaczegożby nie miał uporać się z piekielnym ogniem wyrzutów sumienia i zdobyć umiłowaną kobietę. Dreszcz rozkoszy wstrząsnął nim na tę myśl. Czemużby nie miał dać ujścia osobistym ambicjom, które dotychczas tłumił i gasił w swej duszy. Posiadał przecież siłę, którą daje bogactwo, świetna karjera parlamentarzysty mogła z łatwością stać się jego udziałem. Wystarczy wręczyć kierownikowi stronnictwa, które reprezentuje, świstek papieru wyrwany z czekowej książeczki. Jeden czek in blanco — wystarczy. Tylko patrzeć, jak w nagrodę za swą filantropijną działalność i zasługi, oddane krajowi, otrzyma tytuł baroneta, a za jakiś czas będzie mógł nawet ubiegać się o tytuł para. W ten sposób zmyje plamę ze swego nazwiska, zajmie należne stanowisko w społeczeństwie, a co zatem idzie, będzie mógł oświadczyć się o rękę Alicji. Jeżeli zdoła wyrazić uczucia, jakie żywi dla niej, pewnością nie wyczyta w jej oczach okrutnej odmowy.

Błąkał się bez celu ulicami, upojony szczęściem. Nagle wzrok jego padł na tabliczkę z wypisaną na niej nazwą ulicy. W mdłym świetle gazowej latarni, można było wyczytać napis. Old Compton street. Na końcu wąskiej uliczki widać było szyld hotelu Bomboni. Jasper skierował się w tę stronę. Przez uchylone drzwi restauracji buchała para z sali pełnej pośledniego gatunku gości. Przed kontuarem siedział Bunny z oczami wlepionymi w czarnowłosą Włoszkę, która opierała się z wyrazem rozleniwienia na marmurowym blacie.

Na twarzy Jaspera pojawił się uśmiech. Postanowił nie płoszyć szczęścia zakochanych. Szybkim krokiem minął hotel i skręcił w najbliższą ulicę. Nie dziwił się Bunny'emu. Vittoria była piękna. Piękną jest młodość, niemniej piękną jest młodość. Gdy się ma lat czterdzieści, jest się jeszcze młodym.

Jasper uświadamiał sobie w tej chwili, że kocha poraz pierwszy i że nigdy za swych lat dwudziestych nie pożądał żadnej kobiety, z taką jak dziś namiętnością. Słowa Alicji dźwięczały w jego mózgu, jak melodia. Kto wie... Może Alicja go kocha... Ależ to można oszaleć na tę myśl — szepnął w upojeniu. — Nawet gwiazdy zwarują z radości, gdy się o tem dowiedzą.

Owej nocy Jasper nie zmrzył oka.

Wczesnym rankiem do jego sypialni wpadł Cudby i rzucił mu na łóżko świeży numer Times'a.

— A co! — zawołał trjufującym tonem. — Obudziłeś się sławnym człowiekiem!

Cudby nie był świadkiem sukcesu, odniesionego przez Jaspera, gdyż grypa nie pozwalała mu wychodzić z domu.

— Tak strasznie chciałem, żebyś nauczył rozumu Izbę Gmin i okazał swoją siłę — ciągnął dalej Cudby.

Nieinaczej mówiła Alicja, gdy się spotkała z Jasperem w kularach Izby. Jasper uśmiechnął się.

— Czy naprawdę sądzisz, Tonnie, że mi się powiodło?

Cudby w odpowiedzi odczytał na głos sprawozdania z sensacyjnej mowy. Jasper słuchał go, jedząc śniadanie.

— Tonnie, — przerwał mu — chciałbym wiedzieć co myślisz o lady Alicji Harden?

Cudby zdjął wielkie, oprawne w złoto okulary i przekrzywiając głowę, zabawnym ptasim ruchem, spojrział nań kpiąco.

— Jeżeli pamiętasz, słowa wyrzeczone przez Demetrjusza w „Tytusie Andronikusie“, to znasz moją odpowiedź. Ponieważ Alicja Harden jest Alicją Harden, musi być kochana przez Jaspera.

— Traktujesz mnie, jak warjata.



— Taki warjat jak ty — odparł Cudby, wyciągając do niego szczipłą, sniadą rękę — zasługuje na to, by go los zasypał dobrodziejstwami.

W bibliotece na wielkim biurku, czekały na Jaspera, jak zwykle, stosy listów. Maszynistka siedziała przy swym stoliku, gryząc z nudów obsadkę ołówka. Zjawienie się Jaspera było hasłem rozpoczęcia codziennej pracy. Po upływie kilku godzin, do pokoju weszła służąca.

— Jakiś człowiek chce się z panem widzieć — oznajmiła Jasperowi. Nazywa się Burke.

— Czy miał naznaczoną godzinę? — zapytał Jasper.

— Nie wiem, proszę pana.

— Może ty go znasz? — zagadnął Cudby'ego.

Cudby zajrzał do notesu. Okazało się, że zna tego jegomościa. Jest to jeden z bezdomnych łazików, który zwracał się do nich o pomoc. Pochodził z San Francisco.

— Zaraz do niego wyjdę — rzekł Jasper. Służąca zniknęła za drzwiami. Tymczasem Cudby poprosił maszynistkę, żeby wzięła na chwilę urlop.

Drzwi znowu się otworzyły i na progu ukazał się mężczyzna, z czarną, zwichrzoną brodą. Na policzkach miał dziwną okrągłą bliznę. Zatrzymał się w progu i patrzył blademi, wodnistymi oczami na Jaspera. W rękach trzymał zniszczoną czapkę, którą skubał nerwowo.

Cudby zerwał się z miejsca i huknął na służącą.

— Przecież nie tutaj wprowadza się gości. Tyle razy mówiłem. Proszę zaprowadzić pana Burke do salonu. Pan Vellacot jest jeszcze zajęty. Niech djabli porwą tępą głowę pokojówkil! Dłaczego nie trzymasz służącego? — zapytał Jaspera. Męska usługa jest tysiąc razy lepsza.

Spojrzał na Jaspera i struchlał. Twarz Vellacot'a powlokła się trupią bladeścią.

— Co ci jest!? — przeraził się.

Jasper wskazał drżącą ręką, na drzwi.

— Ten człowiek — wyjąkał — to ten człowiek!

— Mów wyraźnie, o co chodził

— Ten człowiek jest prawdziwym Jasperem Vellacotem. Przyszedł po to, co mu się należy...

## VII

Owego odległego dnia, w którym wędrowny inżynier górnik oświadczył Jasperowi, że jest panem olbrzymiej fortuny — Jasper stracił głowę. Przez całą noc modlił się do zapomnianego Boga. W ciemnej nocy przemawiały doń jakieś niesamowite zjawy, piętnujące jego postępowanie. Dusza Jaspera wiała się w okowach strachu.

Jego wrażliwe sumienie uznało w swoim czasie fakt zdobycia nieurodzajnych terenów, za przejaw kary boskiej, za jego złe czyny. Pomimo, że Jasper posiadał wszelkie dokumenty, stwierdzające, iż jest prawowitym właścicielem owych terenów, to jednak pamiętał ciągle, że odziedziczył je po pewnym nieboszczyku, w sposób niezgodny z literą prawa. Dwa lata wstecz porzucił na drodze wiodącej przez australijski step zwłoki nieboszczyka, któremu zabrał dokumenty, oraz kilka szylingów, znalezionych w jego kieszeni. Jasper nie miał pojęcia, jaką była przeszłość zmarłego włóczęgi. Spędził z nim przed jego śmiercią zaledwie trzy dni, zdążył się wtedy dowiedzieć, że przygodny towarzysz jest samotnym łazikiem. Nie znał nawet jego nazwiska. Nazywał go „towarzyszem”, tamten zaś zwał go żartobliwie „kumem”. Dopiero po jego śmierci wyczytał w jego dokumentach, że był właścicielem terenów, otrzymanych od rządu i że się

nazywa Jasper Vellacot. Również i zniszczona teczka, zawierająca najrozmaitsze papiery oznaczona była inicjałami Vellacota. Od tej pory przyjaciel włóczęgi zaczął posługiwać się tem nazwiskiem, a po długiej i uciążliwej wędrówce, dotarł do jego posiadłości i w najbliższym miasteczku zarejestrował się w odnośnym urzędzie jako jej właściciel. Okazało się jednak, że rozległe domeny, są nieużytkami. Pomimo to, pozostał na miejscu — zrezygnowany i niezdolny do żywszej reakcji.

Całe jego dotychczasowe życie było jednym pasmem zawodów i ciężkich doświadczeń. Dzieciństwo i młodość upłynęły mu w takich warunkach, które wymagały nieustannego wysiłku. Matka jego, nieznaną nikomu kobietą, zjawiła się pewnego razu w górniczej osadzie i, wydawszy na świat syna, skończyła wśród straszliwych cierpień. Pewien górnik zajął się dzieckiem i nazwał je Johnem Taylor'em. Mały John do dziesiątego roku życia wiódł egzystencję zaniedbanego, głodzonego przybłądy. Górnik, znany pijak, uległ wreszcie napadowi białej gorączki i w przystępie szału zamordował żonę, poczem powiesił się na drzewie. Dziesięcioletni chłopak musiał rozpocząć walkę, o byt. Skolei przeżył lepszy okres, jako wychowanek starego pastora. Pastor był żonaty, lecz nie miał dzieci, zlitował się więc nad opuszczonym chłopcem i zaadoptował go. Był mu po części przybranym ojcem, a po części zwierzchnikiem. Młody John uczył się od swego chlebodawcy zasad weslejanizmu, oraz podstawowych wiadomości przyrody i dziejów świata. Odbił nawet daleką podróż z Australji, do Natali, gdyż pastor został przeniesiony przez swoje władze, na nową placówkę. Dobrotliwy staruszek marzył dla wychowanka, o karierze weslejańskiego duchownego. Jasper przez pewien czas wierzył, iż jest wybrańcem bożym, miewał nawet widzenia, słyszał tajemnicze głosy... Później osłabł w nim zapał, a żarliwa wiara ustąpiła miejsca obojętnej rezygnacji. Dziwnym trafem, w okresie zobojętnienia zniknęły wszelkie objawy łączności z zaświatem; przestały go nawiedzać anielskie zjawy, ucichły też tajemnicze głosy. Jasper uświadomił sobie, że łowienie dusz nie jest jego zawodem. W dalszym jednak ciągu cenił ponad wszystko dobroć, prostoduszność i uczciwość.

Niebawem nadszedł dla niego okres nowych, bolesnych doświadczeń. Po raz pierwszy w życiu spotkał się oko w oko ze śmiercią. Najprzód umarła jego opiekunka, a w dwa lata później odszedł do lepszego świata stary sekciarz. Pozostawiony przez niego niewielki kapitał przeszedł w ręce jego krewnych, zamieszkujących Anglję.

Od tej pory pech prześladował młodzieńca. Przemierzywszy wzdłuż i wszerz południową Afrykę, powrócił do Australji. Kilkakrotnie rozpoczynał nowy okres, po to, by pod koniec roku z reguły stawać wobec widma bankructwa. Z paru groszami w kieszeni, rzucał się w nową imprezę nie wierząc już w jej powodzenie. Imał się wszelkich zawodów: przez pewien czas poszukiwał złota; służył u farmerów i hodowców owiec; był rolnikiem, później kręcił się w małym miasteczku, w poszukiwaniu łatwego zarobku, nieraz utrzymywał się z żebranią i w ten sposób docierał do najdalszych osad australijskich. Rzecz dziwna — nie miał w sobie nic z kolonisty, który potrafi wykorzystać każdą sposobność. Był z natury nieśmiały, ufny, łatwo ulegający wpływom. Krótko mówiąc nikomu nie imponował. Pomimo to, potrafił uparcie dążyć do celu, nie zważając na przeszkody, piętrzące się na jego drodze.

(D. c. n.)



# GAŁĄZKA JEMIOŁY

N o w e l a

Marjana drgnęła. Półotwarte usta skrzywił grymas bólu. Uniosły się powoli przezroczyste powieki i lekliwie spojrzenie jej oczu poszukało twarzy kochanka.

Oto ta sama twarz, przed chwilą tak naga, zwycięska i władcza, teraz zmętniała, nieomal obca, wyrazem strachu i znużenia.

Mocny opłot ramion rozluźnił się i Marjana poczuła nieprzychylną pustkę, tam, gdzie przed chwilą tętniło mocne ciepło bliskiego ciała. Skończyło się. Minał krótki błysk szczęścia, złudny pozór wspólnoty. Samotność, wierna towarzysza ludzkiego cierpienia, otoczyła ją nanowo.

Niespokojny głos Michała zaszemrał cicho:

— Co tobie, Marjano? Znow ten ból?

Marjana przyciągnęła głowę Michała do swojej twarzy.

— Myszko, popatrz na mnie — poprosiła.

Wpatrzyła się chciwie w intensywny, czarnymi centkami poplamiony, szafir oczu, które stanowiły kruchą kładkę bezpieczeństwa nad wzburzonymi odmętami jej trwogi i rozpacz. W tych pięknych oczach pragnęła wyczytać pewność, że do końca zachowają blask pożądania, nie zaćmiony popiołem odrzy i rezygnacji.

— Nie odpowiedziałas mi, Marjano! — przypomniał Michał, a jego spojrzenie schmurzyło się i stało podobnym do spojrzenia urażonego chłopca.

— Zabolało mnie serce, Myszczko.

— Serce? Więc boli cię także i serce? Myślałem, że ten nieustanny ból w boku, na który się skarżysz od długiego czasu, jest najgorszym złem. A teraz znow serce! Nie wiedziałem, że i twoje serce jest takie chore, Marjano.

— O, moje serce jest chore. Spewnością. Posłuchaj, jak nierówno bije! — Ujęła jego dłoń i przyłożyła do swojej drobnej, wiotkiej piersi. Michał wyczuł pod palcami znany kształt, delikatną krągłość, przypominającą długie noce bezpamiętnych upojeń, przeżytych we władzy tego ciała, które leżało oto słabe i bezsilne. Krótka, nagła litość wstrząsnęła nim.

— Serduszko! biedny, mały, niespokojny ptak — powiedział cicho i przytulił gorące usta do żółtego jedwabiu piżamy. Długi dreszcz przebiegł ciało Marjany, a mroczne oczy rozblęły niesamowitym blaskiem upojenia.

— Pocałuj mię, Myszko!

Michał znał ten płomień, który zapalał ją gwałtownie, jak smolną żagiew, by po kilku chwilach mdlejącą i unicestwioną, zostawić w jego ramionach. To był czar, który niewolił go i pętał, budząc w nim zarazem rodzaj świętej grozy, w obliczu nieujarzmionych sił, szarpiących delikatnym ciałem kobiety. To była tajemnicza potęga Marjany, której się poddawał jak pijaństwu urzeczony i bezwolny.

Drżał, że ogień namiętności spali jej wątłe siły, ale zarazem przewrotny instynkt niszczenia kazał mu swem szaleństwem podniecać szaleństwo Marjany. Gorzką i dziką rozkosz sprawiało mu druzgotanie swą siłą jej delikatnego ciała.

Marjana zaś oddawała się całkowicie ekstazie, która wciągała w tę miłosną grę całą jej zboliałą istotę, wążąc się smutnie na wąskiej przełęczy, między życiem i śmiercią. Pragnęła spłonąć. Pragnęła, by w jednej z tych królewskich chwil, kradzionych twardemu losowi, spaliło się jej skażone chorobą ciało, nie zdradziwszy sromotnej swojej tajemnicy. By rozsypało się w szary, nieważki popiół, pod słodką pieśczęcią kochanka.

Oderwała usta od warg Michała, westchnęła i załkała. Znużenie tak wielkie, że aż graniczące z martwością, zważyło się na nią. Nie czuła kiedy on wstał. Nie widziała, jak leniwym ruchem przeciągnął swoje gibkie ciało.

Błogie uczucie wyzwolenia z pod niesamowitego uroku przepełniało go. Ach, co za szczęście być znowu sobą: normalnym, zdrowym, zwyczajnym człowiekiem!

Stuk otwierających się drzwi łazienki ocucił Marjanę. Spojrzała w tamtą stronę. W smudze kolorowego światła, płynącego z witrażowych szyb, stał wysoki i zgrabny. Michał. Kochanek. Mąż. Jej niezaprzeczonej własności, którą, jak cenną perłę, wyłowiała sobie z odmętów życia.

Białe materiały otulał i uwypuklał smukłe linie jego postaci. Zamykając drzwi, zwrócił się w stronę sypialni i widząc, że Marjana ma otwarte oczy, przesłał jej ręką pocałunek. Zniknął za drzwiami i wraz z nim znikło uczucie pewności i otuchy, płynące z jego prostodusznej, fizycznej siły. Natychmiast, jak na zaklęcie, myśli pełne udręki osaczyły kobietę. To straszne i nieodwołalne stanęło przed nią w całej swojej grozie. Jej tajemnica. Potworny sekret między nią i starym lekarzem, z takim dobrotliwym spojrzeniem, wypowiadającym wyroki śmierci. Śmier-

ci? Cóż znaczyła śmierć, wobec tego co ją czekało? Wobec nieuniknionego rozkładu, który za życia miał zmienić jej ciało w ohydny zewłok?

— Trup. Żywy trup! — szeptała Marjana przez zaciśnięte zęby.

— I to właśnie moje wypieszczone, całowane ciało, kochane i pożądane, ma się stać pastwą zgnilizny! Dla czego?

Gestem prostackiej rozpacz zapoziła palce we włosy i szarpała ciężkie, czarne pasma.

Biedna Marjana! Czują, że rozpada się w sirzepy jej piękna, ubóstwiana szata, którą nosiła tak długo. Bała się może, że nie zostanie żaden ślad po jej istnieniu, pełnem zapachu i zaru? A może podświadomie lękała się chwili, gdy z tej bogatej, drogocennej szaty wydrze się jej naga, uboga mieszkanka, wznosząca pokorne oczy ku zapomnianej ojczyźnie, do której nie znajdzie drogi, zabłąkana i samotna?

Coś stuknęło w łazience. Marjana gwałtownie opuściła ręce i siłą woli zmiotła z twarzy wyraz rozpacz. Michał nie może się o niczem dowiedzieć! I nie wolno oddawać się takim myślom. Jeszcze przecież ma trochę czasu. Lekarz powiedział:

— Ma pani przed sobą jeszcze kilka miesięcy pozornego zdrowia — Kilka miesięcy! A może cały długi rok!

Wiedziała, że potrafi wyciągnąć zeń wszelką radość, wyssać całą słodycz i upojenie. Nie da sobie wydrzeć ani jednej rozkoszy! Ani jednego uśmiechu Michała, ani jednego pocałunku. Wszystko potrafi zachować dla siebie do samego końca!

Rosła w niej i potężniała aż do bólu świadomość posiadania, mocne przekonanie o prawie do wszystkich skarbów życia, nieustępliwy opór przeciwko każdej próbie rezygnacji.

Leżała z przymkniętymi oczyma. Długie rzęsy rzucały głęboki cień na policzki gładkie, jak kremowy pergamin. Bolesny wyraz zastygł na wypukłych, niedomkniętych wargach.

Wszedł Michał. Uśmiechnęła się do niego uśmiechem, który był jej bronią i arkanem, uśmiechem bezwolnym i pełnym pokusy, który nie pozostawiał nigdy Michała obojętnym, napełniając go skomplikowanym uczuciem rozkoszy i męki.

Pochylił się nad nią i przyłgął ustami do jej białych warg. Natychmiastowa reakcja całej istoty, głęboki dreszcz ciała, był odpowiedzią na jego pieśczęć.

— Jesteś, jak skrzypce — powiedział i pachnącemi mydłem i kąpielą rękami przesunął wzdłuż jej po-



staci. Marjana przytuliła usta do szerokiej dłoni męża. Michał delikatnie wysunął rękę z jej palców, wyprostował się i westchnął. Przegarnął dłońmi po włosach i odszedł w stronę okna. Stał tam chwilę nieruchomo poczem rzekł:

— Śnieg pada, Marjano. Co za śnieg! Cudowne będą święta. — Głos jego był zupełnie inny, niż przed chwilą; wesoty, zwyczajny.

— Muszę się prędko ubierać. Ten śnieg mię tak ciągnie! Przypomina mi się dzieciństwo i nasza wieś. Tam, u nas... — Zatoczył ręką szeroki krąg. Ciepły ton zadźwięczał w jego słowach.

— Zawsze mię ciągnie śnieg, biel dalekiej drogi, step... Ot, wiesz co Marjanko! Pójdę na narty! Nie wytrzymam — Mówił z gorączkowym zapalem, szafirowemi oczyma wpatrując się w puszystą biel za oknem.

Zawiązując pośpiesznie krawat, uśmiechał się radośnie do swego odbicia w lustrze. Marjana patrzyła z podziwem i zawiścią na jego młodą żarliwość, na żywość, z jaką przyjmował każdy zew życia, spiesząc mu naprzeciw.

Michał dostrzegł odbicie smutnej twarzy żony w lustrze i odwrócił się szybko.

— A może, może i ty spróbowałaś pójść ze mną? — W głosie jego brzmiała raczej oficjalna nuta uprzejmości, niż rzeczywista prośba.

— Ja? — Marjana roześmiała się głośniej, niż trzeba.

— Z mojem sercem? Z mojem zmęczeniem? — Mówiąc to, dziwiła się jednocześnie, jak niedomyślny i naiwny jest Michał. Że tak nie widzi i nie spostrzeża nic. Narty! Jeden taki biały, mroźny bieg mógł ją pozbawić wielu pocałunków, wielu godzin upojen. Mógł znacznie przyspieszyć katastrofę. Narty!...

Bezbrzeżny smutek ją ogarnął. Żal nad sobą i rozpacz na myśl o tych chwilach samotności, dodanych do codziennego rozstania na parę godzin, które on spędzał w klubie.

— Zaraz ci każę podać śniadanie. W łóżeczku, prawda? — odezwał się Michał, który skończywszy ubieranie skrapiał chustkę wodą kolońską.

— A po śniadaniu moja pani wstanie, ubierze się, zadzwoni do fryzjera, żeby ją przyszedł uczesać i czas jej prędko zejdzie. A gdy wrócę na obiad, zastanę moją Marjanę pogodną i uśmiechniętą, prawda?

— Może wstanę. Chociaż... nie wiem sama...

— Marjanko, nie poddawaj się tak rozleniwieniu. Jestem przekonany, że imaginacja jest głównym powodem twych niedomagań. Trzeba, żeby moja cudna pani wzięła się trochę w karby. — Michał wygłaszał tę nawpół żartobliwą przemowę, nie spostrzegając nieznacznego uśmiechu

Marjany. Pocałował ją i szedł ku drzwiom.

— Podaj mi „passiflorinę“ Myszczycko, dobrze?

Zawrócił od progu i z przesadną gorliwością ją ustawiał na nocnym stoliku szereg flaszeczek.

— Passiflorina... tu „konwalja“, tu... co to? strichnina? Tego przecież nie zażywasz chyba „dietoczka“!

— Po co to wszystko ustawiłeś? I znowu wtrącasz rosyjskie słowa, chociaż wiesz, jak mię to drażni.

— Cyt, Marjanko! Zapomniałem się. A ustawiłem ten cały arsenał, żebyś miała to wszystko pod ręką, gdy mię nie będzie.

— Poco? Przecież jest Jane.

— No tak, ale widzisz, właśnie chciałbym, żeby ona mogła ze mną pójść na narty.

— Jane z tobą na narty? — Oschłe zdumienie zabrzmiało w głosie Marjany.

— Ona tak doskonale jeździ, Marjanko! I taka z niej koleżeńska, wesoła dziewczyna. A przytem pomyśl, jak jej nieraz musi być smutno. Tak daleko od swoich, od „rodziny“... ojczyzny — poprawił się szybko i zamilkł.

Marjana patrzyła w okno. Jej oczy z nienawiścią liczyły płatki śniegu, ścielące drogę szczęśliwej młodości Michała.

— Więc Marjanko? — Michał czekał cierpliwie, stojąc w progu. Jego oczy wpatrzyły się prosząco w żonę. Znowu przypomniał Marjanie wielkorosyjskiego chłopca z wyrazu twarzy i wystających kości policzkowych. To była jedyna rzecz, która ja w nim raziła: te krótkie błyski, przypominające jego obce pochodzenie, obcą krew.

— Powiedz Jane, żeby tu przyszła zrobić mi masaż głowy. Czuję, że znowu dostanę migreny i nie będę mogła czytać, podczas jej nieobecności. Pomyśl, co ja będę robić sama — poskarżyła się żałośnie.

— Jeżeli ci tak bardzo nie na rękę zwolnić Jane, to ja przecież nie nalegam. Równie dobrze mogę pójść sam. — Patrzył chmurnemi oczyma na proszący śnieg za oknem.

Marjana poruszyła się niespokojnie. Z tą ciężką chmurą na czole Michał stawał się taki dziwnie obcy i daleki.

— Ależ nie! co znowu — zawołała żywo. — Niech idzie na te narty. Obejdę się bez niej doskonale.

Oczy Michała rozjaśniły się.

— Dziękuję, Marjanko. Dobra jesteś dla swego Miszki. Mnie, widzisz, żal tej dziewczyny. Sama, między obcemi, a przytem taka młoda i zdrowa! Potrzebny jej ruch i powietrze. Inaczej mogłaby się rozchorować.

— Spiesz się, Myszko — przerwała chłodno Marjana i odwróciła się do okna.

Michał wyszedł, stukając narciarskiemi butami, głośno zamykając drzwi. Słyszała, jak wołał, by mu dali śniadanie.

Marjana obróciła się nawznak, zaplotła ręce pod głowę i roześmiała się szyderczo.

— Biedactwo, rozchoruje się... — powiedziała głośno. Gniew ją ogarnął na Jane, na tę cudzoziemkę, lektorkę i masażystkę, która jej miała kraść czas Michała. Kim była Jane, by odbierać jej jedyne światło życia?

W tej chwili drzwi uchyliły się ostrożnie i młoda angielfka weszła na palcach do sypialni. Marjana wymamrotała odpowiedź na stereotypowe pozdrowienie Jane.

— Proszę mi wymasować skronie — rzekła krótko. Jane pewnym, pieczołowitym gestem objęła jej głowę. Celowe, choć nieznaczące ruchy palców zdawały się wlewać w nerwy Marjany spokój i ciszę. Z pod rzęs, uważnie przypatrywała się twarzy dziewczyny, poraz pierwszy odkąd Jane była w jej domu. Krótka, mocna broda, zadarty nosek i niskie czoło — oto formalny rysopis Jane. Ale piwne oczy, pełne wesołego blasku; puszyste policzki; różowe usta, omszone, jak leśna malina; faliste włosy, koloru dojrzałej pszenicy — oto Jane prawdziwa.

Pod białym fartuchem rysujące się twardo piersi, szerokie biodra, smukłe nogi. Miód, zapach, słodycz i cierpkość lata. Młodość i zdrowie. Potęga, czar.

Marjana przymknęła niechętnie, zawistne oczy.

— Dosty już. Dziękuję.

Jane, pełna gorliwości i dobrej woli, wypytywała ją, jak spędziła noc, czem jej można usłużyć, co podać? Czy może zaraz coś poczytać? Czy pierwej weźmie kąpiel i zje śniadanie? Marjana odpowiadała monosylabami. Niespodziewanie rzekła:

— Mój mąż zaprasza dziś panią na narty, miss. Zwalniam panią na cały czas, aż do obiadu. Józefa mi usłuży. Twarzyczka Jane spłonęła, jak mak.

— Och, dziękuję! Co za miła propozycja! Mister Razdolin jest naprawdę, bardzo, bardzo dobry. Tylko boję się, czy pani nie będzie się czuła zbyt osamotniona, gdy ja odejdę. Wygląda pani tak blade... — i patrząc na Marjanę z wielką serdecznością, zawołała: — Naprawdę, ja z całą przyjemnością wyrzeknę się tego spaceru, by drogiej pani dotrzymać towarzystwa.

— Cóż znowu? — ostro przerwała Marjana: — przecież pani nie może robić zawodu memu mężowi. Tu chodzi o niego, o jego przyjemność, wcale nie o panią. A ja?... Cóż, jakoś dam sobie sama radę.

d. c. n.

Jadwiga Chamiec.



# JUBILEUSZ ZACHĘTY

Znana nietylko na terenie Warszawy, pełna zasług instytucja „Zachęta Sztuk Pięknych”, święci w tym roku jubileusz swego 75-letniego istnienia.

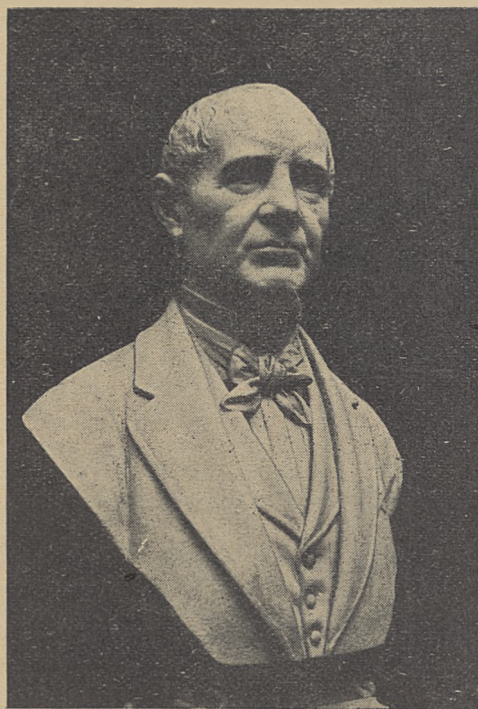
Około połowy ubiegłego stulecia rozpoczął się przygotowywać rozkwit malarstwa polskiego. W stolicy wzmógł się ruch artystyczny, założona w roku 1843 Szkoła Sztuk Pięknych skupiała młodzież pełną zapału.

O zainteresowaniu ówczesnego społeczeństwa warszawskiego świadczyło wymownie silne poparcie wystawy rządowej w roku 1858, przez grono artystów z Wojciechem Gersonem i Alfredem Schouppé na czele, w nieistniejącym już dziś pałacu Mokronowskich na rogu ul. Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia.

Powodzenie tego przedsięwzięcia, noszącego nazwę „Wystawy Krajowej”, zrodziło chęć urządzenia stałych, okresowo się powtarzających, pokazów sztuki.

Pomysły te zostały szybko zrealizowane. Opracowano statut nowego towarzystwa, który został zatwierdzony przez Radę Administracyjną Królestwa Polskiego w dniu 30-ym października 1860 roku. Długa i bogata w talenty była lista artystów (78) i miłośników (154), należących do założycieli.

Pierwszy komitet artystów tworzyli: Józef Simler, popularnie znany jako twórca „Śmierci Barbary Radziwiłłówny” i portretów pań z towarzystwa warszawskiego, January Sucho-dolski, batalista, Rafał Hadziewicz, długostrwały profesor Szkoły Sztuk



Józef Mianowski  
rzeźba Wiktora Brodzkiego.

Pięknych, autor wielu kompozycji religijnych, znajdujących się w licznych kościołach całej Polski i Stolicy, Juljan Kossak, znakomity akwarelista, pejzażysta Schuppe i rzeźbiarz Hegel, — obok nich zajęli miejsce tej miary miłośnicy, co bar. Edward Rastawiecki, Aleksander Przeździecki, Józef Ignacy Kraszewski i inni.

Pierwszym wiceprezesem (stanowisko prezesa było obsadzone przez Rosjan) został właśnie Rastawiecki, twórca słownika malarzy polskich, znakomicie zasłużony kulturze naszej, następnym Rektorem Józef Mianowski, którego Imienia Kasa, stanowi tak ważny czynnik i dziś jeszcze w życiu naukowym Polski.

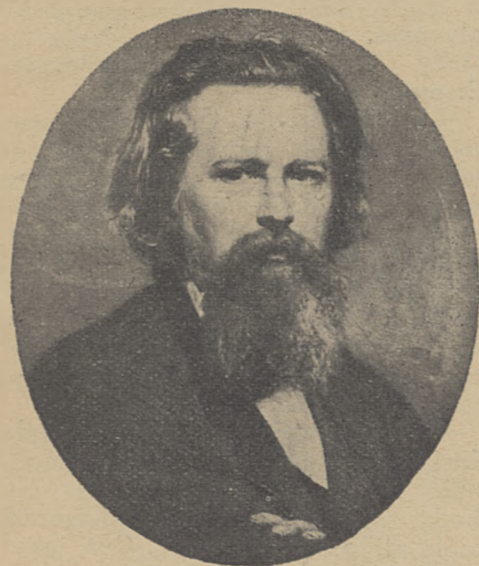
W latach początkowych swego istnienia, Towarzystwo nie miało stałej siedziby, urządzano wystawy najpierw w domu Gerlacha (przebudowany na frontowy gmach Hotelu Europejskiego), potem kolejno w gmachu pobernardyńskim, w baraku na dziedzińcu pałacu Potockich, wreszcie w Resursie Obywatelskiej. Dopiero w roku 1900 pozyskano nowy gmach, wzniesiony według planów architekta Szyl-lera.

„Zachęta” tworzyła przez długie lata ostoję polskiej myśli, za jej to staraniem nadsyłali swe prace artyści, mieszkający w innych zaborach i zagranicą. Musiano nieraz używać wiel-

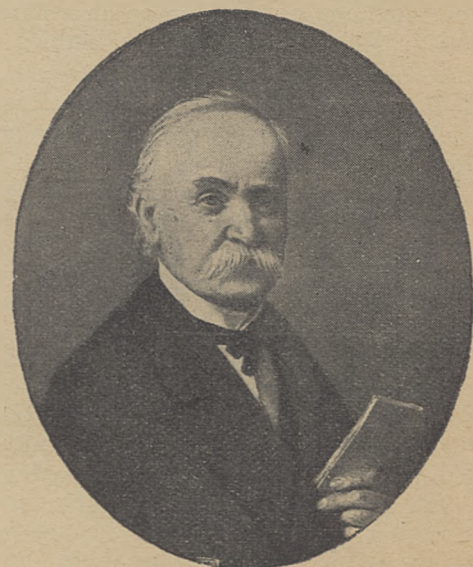
kiej dyplomacji i stanowczości razem, aby uniknąć zbierających się nad nią ciężkimi chmurami wrogich nastrojów, wytwarzanych przez czynniki rządzące.

„Zachęta” przez długie lata spełniała swą wychowawczą i społeczną rolę. Wystawy przez nią organizowane, dające rzadkość zapoznania się z całokształtem niemal malarstwa polskiego, odwiedzane były przez tłumy publiczności — każdy nietylko że czuł się zobowiązany do odwiedzania sal wystawowych, ale do popierania Towarzystwa przez zapisywanie się na członka Zachęty. Rozdawane corocznie premie szerzyły zamiłowanie do sztuki polskiej w szerokich rzeszach społeczeństwa, budziły entuzjazm dla artystów. Wędrowały na dalekie nieraz kresy reprodukcje obrazów Matejki, Siemiradzkiego, Brandta, Chełmońskiego i innych, litografie Wyczółkowskiego i Gersona, sztychy Redlicha, akwaforty Jasińskiego, Łopieńskiego, Pankiewicza i t. p.

Jedną z wielkich zasług Zachęty jest stworzenie muzeum sztuki polskiej. Myśl ta, żywniona przez założycieli, została stopniowo realizowana w coraz większych rozmiarach od momentu zakupu przez grupę miłośników z wyżej wzmiankowanymi Rastawieckim i Przeździeckim na czele, „Śmierci Barbary” Simlera (1861). Następnie przysłyły coraz się mnożące dary z zapisu różnych znawców i miłośników sztuki, rodzin artystów, lub ich samych. Obecnie Muzeum posiada przeszło 800 dzieł, które oczekują



Wojciech Gerson autorportret.



Alfred Schouppé autoportret.



rozszerzenia lokalu, aby w całym splendorze zabłysnąć przed oczami widzów. Muzeum „Zachęty” stanowi bardzo ważną pozycję w naszych zbiorach, rzuca, dzięki doborowi prac, światło na rozwój malarstwa polskiego ubiegłego stulecia, z głównym uwzględnieniem środowiska warszawskiego. Bliskie też specjalnie sercu każdego, zrośniętego ze stolicą są sale, zawierające w sobie Matejkę, Siemiradzkiego, Gierymskich, Malczewskiego, Fałata, Wyczółkowskiego, i pozatem prawie że wszystkich, wybitnych artystów, którzy udział brali w wystawach, urządzanych przez tyle lat staraniem Towarzystwa.

Ambicją Towarzystwa, obok urządzania wystaw i zbierania dzieł sztuki, była też zawsze pomoc artystom: udzielanie im stypendjów na dalsze kształcenie się. Wśród listy nazwisk stypendystów, idących już nie w dziesiątki, a w setki, istnieje wiele zaszczytnie mówiących, o intuicji komitetów „Zachęty”.

Umiała „Zachęta” wyrobić w społeczeństwie warszawskim poczucie obowiązku wobec sztuki i jej twórców: — składki członkowskie i bilety wejścia umożliwiały jej egzystencję samowystarczalną.

J. Puciata-Pawłowska.

## Ada Sari

— „Czy to flet śpiewa”?

— „Czy wnieśli na salę koncertową klatkę z kanarkiem”?

— „Czy wpuścili słowika do rozgłośni radjowej”?

Nie. To śpiewa Ada Sari!

kością lirycznego akcentu, błyskotliwością koloratury.

— „Jak mamy określić głos Sari”? pytają samych siebie krytycy Warszawy, Wiednia, Sofji, Pragi, Rzymu, Medjolanu, New-Yorku, Sztokholmu, Budapesztu i setki innych miast świata. Więc sypią się porównania do „perel”, „kryształów”, „biżuterji”, „aksamitnych wstęg” i „złotych barw” głosu.

Nie o tem chcę dzisiaj pisać.

Dla mnie Ada Sari, poza wielką gwiazdą operową — jest jeszcze... kobietą.

Jaka jest Ona w domu?

Przedewszystkiem... miła! Naturalna, uśmiechnięta, serdeczna, szczerza i bardzo... bardzo kobieca. Ma miękkie rysy i wdzięczny uśmiech.

Jej mieszkanie?

Przypomina gniazdo. Jest usłane miętko i przytulnie dywanami perskimi, kilimami z Dakaru, poduszkami z Boliwji i futrami z głębin „Czarnego ładu”. Przelotny ptak chce mieć swój własny dom, do którego mógłby zawsze powrócić z artystycznych wędrówek po świecie.

Ach te kufry i walizy!

Ach te hotelowe numery! Pociągi i okręty!

Koczownicze życie znużyło już kobietę, chociaż artystce daje zawsze pełnię zadowolenia.

Więc cieszy Adę Sari jej mieszkanie.

I nie tylko raduje ją salon z królującym fortepianem. I nie tylko sypialnia z finezyjnemi w kształtach antykami, ale cieszą ją jeszcze... gospodarckie strony Jej „home'u”.

A więc biało-zielona łazienka, lśniąca od nikli i luster. I kuchenka — ostatni krzyk postępu!

Ada Sari... ma gazowy piecyk, śpiżnię ze specjalną wentylacją, szafki na rondle, automatyczny śmietnik, suszarkę! Ada Sari ma to wszystko i... cieszy się z tego jak prawdziwa kobieta.

Nie dziwię się, więc już zupełnie, kiedy w jadalni, jako realny wynik zainteresowań kulinarnych Gospodyni — zastaję estetycznie nakryty stół.

Tartinki własnoręcznie robiła... Ada Sari!

Ciasta i owoce Ona układała.

I ona też ustawiała te kryształowe „petits riens” z cytryną, arakiem i śmietanką.

Sławny akompanjator — pan Urstein twierdzi z uśmiechem, że najlepszymi gospodyniami są... artystki!



„Una gola privilegiata”) zachwyca wszystkich i czaruje rozpiętością skali głosowej, mistrzostwem techniki, nástrojem dramatycznego wyrazu, mięk-



Jej mieszkanie przypomina miętko usłane gniazdo....

\*) „Uprzywilejowane gardło”



Musimy jego doświadczeniu wierzyć na żywym, czarującym przykładzie.

Ada Sari podsuwa, nalewa, częstuje, bawi rozmową i zaprasza.

Wspomnienia...

— „Zaśpiewaj dziecinko”.

Sześciolatnia, maleńka Ada bawi wszystkich w salonie swych rodziców we Lwowie. Repertuar jej jest przypadkowy i tem więcej budzi wesela.

Ada śpiewa:

— I ta, co w puzon dmie... I ta, co smyczkiem tnie

I ta, co z wielkiem bum-bum, zrobiła w sercu mojem szum”...

To „bum-bum” sprawiało efekt niezawodny.

W Wiedniu piętnastolatnia Ada brała lekcje śpiewu dwa razy na tydzień po ½ godziny. W Medjolanie osiemnastolatnia już pracowała usilnie.

Naprzód! Dalej! Naprzód! Jeszcze!

Zadebutowała partję Małgorzaty w Rzymie.

Potem śpiewała „Cyganerję” w Neapolu. I „Rycerskość” w Medjolanie z samym Mascagnim!

Mówiono jej, że ma talent dramatyczny. Mówiono też, że ma głos liryczny. Wreszcie w „Romeo i Julji” w jednej, koloraturowej kadencji okrzyknięto, że przejawiała fenomenalną technikę w karkołomnej akrobatyce koloraturowej!

To było decydujące.

Powodzenie nie przewróciło jej w głowie. Uważała je za naturalny wynik swej usilnej pracy. Na laurach też nie spoczęła, pracując wciąż dalej i dalej. Bez ustanku! Przez całe życie! Zdając wciąż egzaminy przed dyrekcjami wszystkich oper świata i przed publicznością wszystkich nieomal narodów.

Publiczność...

Jakże trudną była do zdobycia ta publiczność włoska! Ta, która bez obiadu żyje, aby kupić bilet na galerję do „La Scali”.

Ada Sari zadowolona wybredny jej smak każdą nutą zaśpiewaną precyzyjnie i każdą rolą, opracowaną do najmniejszego szczegółu.

Przez lat trzynaście swego pobytu we Włoszech była „Primadonna Solista”.

Miała powodzenie. Mieszkając stale w Medjolanie, ani dnia nie pozostawała bez engagement.

— „Sari przyjechała” mówili portjerzy hotelowi, widząc wnoszone kufry. „Ale zapewne jutro, pojutrze znowu pojedzie w świat”.

I rzeczywiście, za dni kilka znoszono jej kufry.

We Włoszech niema kontraktów rocznych w operze. Artyści zostają zaangażowani na cztery, osiem, dziesięć występów, a potem miesiącami

czekają na nowe engagement. — Tem większy tryumf dla Ady Sari, która zawsze znajdowała chętne dyrekcje.

Poza Włochami, oklaskiwał ją cały świat.

Ameryka Południowa i Północna.

Paryż na koncertach symfonicznych pod dyrekcją Konssewitzky'ego zachwycał się jej fenomenalną koloraturą! Śpiewali z nią tacy partnerzy, jak Titta Ruffo i Battistini!

Deski sceniczne. Mikrofon. Estrada.

Entuzjastyczne krytyki. Oklaski. Wieniec.

Wiszą na ścianach:

Złote, wawrzynowe, w kształcie liry, wstęgi.

Ten jest z Pragi. Tamten z Budapesztu. Ta wstęga jest z Wiednia. Ta biało-amarantowa od kolonii polskiej z Chicago. A tamta, taka barwna z Zürichu.

— „Znakomitej artystce”!

— „Bogini sztuki”!

— „Czarownej Mimi”!

— „Uwielbianej Rodaczce”!

Ada Sari rozkłada w rękach wstęgi, uśmiecha się do wspomnień.

Próby. Przedstawienia. Koncerty. Recitale!

Praca! Praca! Praca!

W niedzielę radio. W piątek opera. W przyszłym tygodniu Filharmonja. Wyjazd na północ: Stokholm, Kopenhaga.

A co potem?

Kufry. Pociągi. Okręty.

Powrót do gniazda, do Warszawy. Ada Sari obrzuca wzrokiem ściany swego mieszkania i... uśmiecha się. Tak uśmiecha się, jak na fotografii...

J. Surynowa-Wyczółkowska.

## Rozmowy literackie

Pokłosie Gwiazdki

Przed Świętami (jakie to dziwne, że Święta zaczynają już być przeszłością) przeglądaliśmy na łapu-capu książki dla młodzieży. Wiele kolorowych okładek, wiele tytułów, wiele znanych nazwisk literackich! Jakże trudno było w czasie gorączkowego przeglądania wybrać to co najlepsze, zastanowić się nad poszczególnymi walorami książek, które spadły, jak lawina, tuż przed samymi Świętami na głowę recenzenta.

Tak, teraz już wiadomo, dlaczego recenzje z książek dla dzieci i młodzieży traktowane przez oficjalną krytykę zdawkowo i powierzchownie: krótki sezon zainteresowania nimi — te parę tygodni przed Świętami nie wystarczy dla pogłębienia tematu. Zaraz po Świętach, ba, nawet już w dzień wigilji książki dla młodzieży stają się nieważne i są nieważne przez cały długi rok, aż do przyszłego Bożego Narodzenia, więc do nowego pospiechu w omawianiu tego przecież tak ważnego tematu. Błędne koło, z którego nie może wyjść najbardziej nawet uczciwa krytyka, bo nie chcą wyjść panowie wydawcy, trzymający się kurczowo tak zwanego „sezonu gwiazdkowego”. Ale nasze rozmowy literackie są nieoficjalne. Odrobiliśmy swoje — przed Gwiazdką przejrzałyśmy, nie, przeczuciłyśmy masę wydawnictw dla dzieci i młodzieży — teraz, po Świętach, możemy już pisać, mówić i dyskutować, o czym nam się podoba. Dobrze więc — pomówimy o tegorocznym kierunku w literaturze dla młodzieży. Przede wszystkim

kiem na zasadzie poprzednio omawianych książek należałoby przypuszczać, że dziewczęta wogóle czytać nie potrzebują. Wszystko dla chłopców, młodszych, starszych, pędraków i dorastających. Same przygody, podróże, technika, no i, broń Boże, żadnej fantazji. Ten punkt jest bardzo ciekawy i kto wie, czy nie rozsądny, tylko że element niezwykłości jest czasem tak bardzo upragniony, wobec przytłaczającej masy spraw konkretnych!

Książki, o których dziś będziemy mówiły (biedactwa nie zdążyły już do artykułu gwiazdkowego), oprócz tego, że znowu są przeważnie dla chłopców, posiadają jeszcze jedną charakterystyczną cechę: zbyt jaskrawy dydaktyzm. Wolną od niego jest tylko książka Marji Buyno-Arctowej, p. t. „Zielony Szalenciec”, w której mamy zupełnie dobrze i strawnie dla młodzieży podaną sensację, pełną nastroju tajemniczości. Typowa książka ściśle rozrywkowa, o której marzą, przekarmione budująca literaturą rzesze młodzieży. Ściśle rozrywkową jest również dla starszej młodzieży przeznaczona powieść Zane Grey'a p. t. „Kwiat Colorado”. Delikatny nastrój romantyczności, unoszący się nad tą powieścią, przenoszący czytelnika w kraj barwny, w życie surowe i twarde, a przecież piękne, żywość naracji, a co najważniejsze — dobry przekład, oto walory tej przyjemnej książki rozrywkowej, którą młodzież przeczyta jednym tchem.



Na pograniczu „piły dydaktycznej” i książki naprawdę ciekawej stoi powieść dla młodszych dzieci Janiny Porazińskiej p. t. „Wesoła gromada”. Jeżeli obdarowane tą książką dziecko usłyszy przypadkiem, że książka ta daje podstawy wychowania obywatelskiego, że jest przeznaczona do lektury obowiązkowej — nie zechce zapewne takiego prezentu gwiazdkowego wziąć do ręki. Ocho! wiadomo zgóry, co to są książki polecane — nuda, że coś strasznego! Okazuje się przecie, że nie zawsze. Książka Porazińskiej, pomimo wszystko (no tak!) jest doskonała. Nuda nie jest nudną, wychowanie obywatelskie da się zrozumieć, a nawet wzrusza, a pozatem akcja bardzo ciekawa, typy żywe, a styl, jak zwykle u Porazińskiej, doskonały. Dobra książka!

Natomiast druga powieść Buyno-Arctowej ma wszystkie te wady, które mogłaby mieć książka Porazińskiej.

Akcja jest przyszyta do tendencji, a osoby występujące do akcji. Wszystko zaś tak grubym szwem, że nawet dziecko, obdarzone najlepszymi chęciami, nie będzie mogło go nie zauważyć.

Odradzanie moralne wsi, stosowane z dużym społecznym patosem przez młodą nauczycielkę, sporządzone według modelu dr. Judyma z „Ludzi Bezdomych” Żeromskiego, aniołkowość chłopów, i dzieci zakłamanie akcji — wszystko to razem odbiega od ideału książki dla młodzieży, któ-

ra powinna być prosta, szczerza i możliwie prawdziwa.

Również fałszywą drogą poszedł inżynier Porębski, pisząc swoją książkę p. t. „Samochód wychodzi z fabryki”. Albo, albo... Albo piszemy popularną książkę techniczną o tem, jak powstaje samochód (większość chłopców przeczyta ją i tak jednym tchem), albo piszemy powieść dla młodzieży, w której musi się dziać coś więcej, niż budowanie samochodu. Doczepianie jednego do drugiego wygląda na zwykłe wobec młodzieży oszukaństwo literackie, które jest dla czytelnika bardzo upokarzające. No, bo czyż nie jest na tyle dorosły, żeby przeczytać poprostu książkę o samochodach, zamiast tej bujdy powieściowej!

Zofja Miszewska

## Państwowa Nagroda Literacka

Tegoroczną Państwową Nagrodę literacką otrzymała znakomita pisarka, jedyna kobieta, wybrana do Akademii Literatury — Zofja Nałkowska.

Pracę literacką rozpoczęła Nałkowska jeszcze przed wojną szeregiem doskonałych, psychologicznych powieści. Rozwijający się talent autorki postawił ją wkrótce w rzędzie czołowych piór literatury powojennej, nie tylko w dziedzinie beletrystyki, ale i dramtopisarstwa. W jednym z najbliższych numerów „Tygodnika Kobiety” zamieścimy obszerny artykuł o twórczości Zofji Nałkowskiej.

## O racjonalny teatr dla dzieci

Rozmowa z p. Ewą Kuniną, kierowniczką Teatru dla dzieci w „Reducie”

Wyznaczając ogromny zasięg teatrowi i jego roli kulturalno-wychowawczej, „Reduta” nie zapomina o dzieciach. W godzinach wieczornych w podziemiach „Reduty” wre ożywiona praca. Niełatwo nakłonić p. Ewę Kuniną, kierowniczkę Teatru dla dzieci, do krótkiej bodaj rozmowy. Pochyliła nad biurkiem, ciągle zajęta, ciągle w świecie projektów, organizacji, pracy, wkładająca w tę organizację myśl i serce, z dziwną skromnością i powściągliwością mówi o zamierzeniach:

— Szukamy istotnego wyrazu w teatrze dla dzieci. Chodzi przede wszystkim o odpowiedni dobór sztuk i o odpowiednie ich ujęcie. Uciekamy od bajki, która dowodzi, że nie pracą, wysiłkiem indywidualnym zdobywamy dobra świata. Bajka np., w której głupi, korzystając ze sprytu, osiąga wartości, skarby, miłość królowej, jest w założeniu samem niemoralna. Wartość pewna musi zwyciężać — inaczej sztuki, ze względów pedago-

gicznych, nie będą miały żadnej wartości. Zaznaczyć jednak trzeba, że z fantazją nie zrywamy — uciekamy tylko od nudnego szablonu.

Repertuar dla dzieci mieści się dotychczas w ciasnym kręgu. Królowej, śnieżki, krasnoludki... Ciągłe jeszcze karmi się dzieci dziwami ze świata czarów. Chodzi przecie o rzeczy ważniejsze: o rozwój uczuciowy, rozumowy, o wychowanie przede wszystkim. Efektarstwo teatralne jest niepedagogiczne. Często uwaga dziecka, zatrzymawszy się nad środkami technicznym, przesłizguje się zaledwie o zasadnicze momenty sztuki. Iluzja teatralna powinna iść po linii możliwie najprostszej.

— Jakże założenia stawia w repertuarze teatr dla dzieci „Reduty”?

— Dążeniem naszym jest dać dziecku teatr, związany z jego życiem (domem, szkołą) dać prawdę wyjętą z codzienności z obrzędów, pokazać tę prawdę w formie prostej i czystej. Chcielibyśmy, by przedstawienie by-

ło w życiu dziecka pewnem zdarzeniem, które przygotowuje go do życia w przyszłości, które rozwinie i pogłębi jego wiadomości z zakresu szkoły. Tematy (z geografji, z historii np.) znane dziecku z książki, z czytanki, w plastycznym ujęciu uzyskują nową siłę atrakcyjną, która we wrażliwości dziecka obudzi niewątpliwie żywsze zainteresowanie.

— Kiedy i od kogo wyszła myśl zorganizowania racjonalnego teatru dla dzieci?

— Inicjatorem był Juljusz Osterwa. Osterwa polecił mi zorganizowanie i poprowadzenie teatru dla dzieci o wyżej omawianych założeniach. Rozpoczęliśmy pracę w sali „Majesticu”. Bardzo prędko, jednak ze względu na minimalne środki materialne, przenieśliśmy się do naszych podziemi. Sztuki Morawskiej już dawane były na terenie „Reduty”. Sprawa została zepchnięta na wypracowanie odpowiedniego repertuaru.

— Jak się przedstawia teatr dla dzieci na tle teatru tego typu zagranicą?

— W Rosji Sowieckiej teatr dla dzieci jest umiejętnie zorganizowany, upaństwowiony, ma mocny wyraz artystyczny. Omawialiśmy te kwestje z kierowniczką rosyjskiego teatru dla dzieci, p. Natalją Sac, bawiącą przejazdem w Warszawie. W salonach „Reduty” po odczycie p. Sac wywiązała się dyskusja, która wyłoniła ciekawe w tej dziedzinie spostrzeżenia.

Egzemplarze sztuk, przysłanych nam przez p. Sac, okazały się jednak nieodpowiednie do ram naszego teatru dla dzieci, ze względu na specjalne założenia repertuaru teatru w Rosji Sowieckiej, kształcącego człowieka według pewnego kierunku.

Nam w urabianiu dziecka — przyszło człowieka, chodziłoby przede wszystkim o kształcenie w dziecku, o upowszechnianie w niem wartości bezwzględnych, jak: dobroć, miłosierdzie, miłość dla ojczyzny i tradycji.

Rozmowa dobiega końca. P. Kunina znowu pochyła się nad biurkiem. Na sali odbywa się próba pod kierownictwem p. Marii Dulęby, która ofiarowała w teatrze dla dzieci opiekę artystyczną i objęła reżyserję.

„Reduta” pracuje — z zarysów, z gorących projektów, buduje rzeczywistość.

Kl. Sołnowiczówna.

## T.K.K.T. dla dzieci

Nareszcie dobry dziecięcy teatr, którego tak brakowało! Na dużej scenie, z ładnymi dekoracjami, z udziałem znanych artystów. Jeżeli rzeczywiście sobotnie przedstawienia będą się stale odbywały — T.K.K.T. zasłuży na wdzięczność stolicy. Znaj-



dzie się repertuar odpowiedni i wy-  
chowa zastępy publiczności.

Niezbyt liczna gromada, zebrana  
w Letnim na premierze dn. 14 z. m.  
wykazała już zrozumienie artystycz-  
nych poczynań, reagując żywo na  
każdy efekt dekoracyjny, na wdzięcz-  
ny śpiew i taniec (Balet T. Wysoc-  
kiej).

Pedagogiczna bajka Szelburg-Za-  
rembiny o Józiku-kupczyku p. t.

„Wyprawa po szczęście“, unikając  
banału, wnosi trochę nowych warto-  
ści do ubogiej literatury teatralnej.  
Obfituje w wiele zajmujących szcze-  
gółów, nie zatracając swej przewo-  
dniej myśli. Zbudowana jest z wy-  
czuciem sceny i gustów najmłodszej  
publiczności.

Zarząd teatru, rozporządzając od-  
powiednieniami środkami techniczne-  
mi, dał sztuczce godne tło, podkre-

ślając jej walory rozrywkowe. Było  
więc wspaniałe wewnątrz sklepu, lata-  
jący samolot i okręt „zupełnie praw-  
dziwy“.

„Wyprawa po szczęście emocjonu-  
je dzieci mn. w. do lat 12. A pro-  
gram zapowiada przedstawienia dla  
m ł o d z i e ż y w wieku szkolnym.  
Czy będą i poważniejsze sztuki dla  
klas wyższych?

Alina Kwiecińska.

## W domu z czerwonych cegieł

### II.

W wielkim ogrodzie, wśród klom-  
bów i trawników, mieści się kompleks  
budynków szpitala dla umysłowo cho-  
rych. Po przybyciu do zakładu, cho-  
ry znajduje się przez pewien czas na  
obserwacji i dopiero po sklasyfikowa-  
niu przez lekarzy rodzaju cierpienia —  
zostaje odesłany na odpowiedni od-  
dział. Na specjalnej obserwacji znaj-  
dują się również ci, których czyn  
przestępczy o objawach nienormalno-  
ści doprowadził do sali sądowej.

Ustalenie odchylenia od granicy  
normy jest niezwykle trudne. Przypo-  
minam sobie pewnego młodego cho-  
rego, o cierpiącej twarzy i głębokich,  
schowanych oczach. Człowiek ten za-  
bił swoją matkę; skierowany tu zo-  
stał przez Sad, celem ustalenia po-  
czytalności. W okresie następującym,  
zaraz po przybyciu, zdradzał silne  
objawy nienormalności, potem to u-  
stało i jako uleczony opuścił szpital.  
Wkrótce jednak znów doń powrócił.  
I znów okres wielkiego duchowego  
niepokoju ustąpił po pewnym czasie  
normalnemu zachowaniu. Jest teraz  
właściwie zdrow, ale bezpieczeństwo  
publiczne wymaga, by nie przebywał  
na wolności. Niewiadomo bowiem, czy  
choroba na zawsze go opuściła, czy  
tylko przyczaiła się, gotowa znienacka  
zamącić mu jasność umysłu i wrażli-  
wość etyczną.

Rozpoczynamy zwiedzanie od od-  
działu dla najspokojniejszych. Pokoje  
niewielkie, najwyżej po kilkanaście  
łóżek. Łóżka te są niskie, bez żad-  
nych ostrych kantów, tak, aby chory  
nie mógł sobie zrobić krzywdy, upa-  
dając w razie nagłego ataku. Drzwi  
nie mają klamek. Wszędzie czystość  
szpitalna, wszędzie jasno, biało, na  
korytarzach delikatne asparagusy sto-  
ją w oknach. W tym oddziale dla naj-  
spokojniejszych można było prowa-  
dzić z chorymi nawet dłuższe rozmo-  
wy. Każdy z nich opowiada o swoich  
przeżyciach, o przeżyciach, które mo-  
głyby stanowić nieprzebrany materiał  
dla najfantastyczniejszych książek  
świata. Są to opowieści czasem tra-  
giczne i bolesne, czasem pełne humo-  
ru i absolutnej pogody ducha. W nie-

których wypadkach, nawet po dłuż-  
szej rozmowie, trudno sobie uświadomić,  
że to nie jest normalny czło-  
wiek. Aż nagle, w najbardziej nie-  
oczekiwanym punkcie opowiadania  
„nienormalność“ wychodzi na jaw.  
Tak jest często u paranoików. Rozu-  
mują oni zupełnie logicznie, fałszywy  
jest jedynie punkt wyjścia ich deduk-  
cji myślowej. Wkroczywszy na błęd-  
ny tor, chory posługuje się już nor-  
malnymi przesłankami myślowymi.  
Stąd pochodzi nazwa tego rodzaju  
choroby — paranoja, co znaczy mniej  
więcej „jakby wiedza“, lub „błędna  
wiedza“.

W oddziale dla niespokojnych cho-  
rzy miotają się, jak zwierzęta w nie-  
nawistnych klatkach. Ręce, nogi, ca-  
ła twarz w bezustannym ruchu, —  
walczą z natłokiem myśli, lub jedną,  
„partą, która powraca, jak natrętna  
fala i zakłóca równowagę umysłu.  
W jednej z sal tego oddziału leży czło-  
wiek pod sznurową kratą, dość moc-  
no przytroczoną do brzegów łóżka.  
Widocznie przebył niedawno atak  
furji i musiano go obezwładnić. Koło  
tego łóżka nie można przejść ze spo-  
koiną twarzą i obojętnym sercem.

Z tych sal, gdzie powietrze samo  
zdaje się być niespokojne i rozedrga-  
ne gorączką myśli, przechodzimy do  
oddziału, w którym panuje cisza, —  
działająca może jeszcze silniej niż po-  
przednie niepokoje i hałasy. To od-  
dział melancholików. Siedzą zastygłi  
w apatii, powykręceni jak potworki,  
na które zły czarownik rzucił urok.  
Ulubioną pozycją jest siedzenie na  
ławce, z podkorchonemi pod brodę  
nogami i głową wciśniętą głęboko  
między ramiona. W języku szpitalnym  
nazywa się to, że chory robi „budkę“.  
I w tej „budce“, jak ślimak w skorupie,  
siedzą dni, tygodnie, miesiące. Są  
tacy, co od dwóch lat nie wyrzekli ani  
słowa i nie zdarzy się prawdopodobnie  
nic na świecie, coby ich z tej  
śmiertelnej apatii i niemocy uwolnił  
mogło.

Przejdźcie przez te pokoje wystar-  
cza, by utrwalić sobie na długo te  
woskowe widma ludzkie o szarych,  
spopieliałych źrenicach, bez wyrazu,  
nieruchomych.

Słowo „urok“, użyte przezemnie  
poprzednio, brzmi nierzeczowo. A jed-  
nak to właśnie określenie przychodzi  
uparcie na myśl, gdy się obserwuje lu-  
dzi, których jakaś niezbadana do-  
tychczas siła pcha do spełniania cięż-  
kich przestępstw. Chorzy opowiadają  
dziwne rzeczy: jednemu z nich u-  
kazywały się na niebie jakieś tajem-  
nicze znaki, słowa, obrazy. Po tych  
widzeniach przychodziło zamroczenie  
i działanie w półświadomości. „Wi-  
dzenie“ nieistniejących obrazów, fakt,  
że człowiek słucha jakichś niereal-  
nych podszeptów — to właśnie zasad-  
nicza cecha drugiego wielkiego odła-  
mu choroby umysłowej — zwanego  
schizofrenią (jakgdyby rozszczepienie  
osobowości, w luźnym tłumaczeniu).  
Chory, o którym wspomniałam, po  
ujrzeniu na niebie jakichś magicznych  
znaków, wpadł w stan zamroczenia,  
wszedł do chałupy, w której zamiesz-  
kiwał, wziął nóż, leżący na stole i jed-  
nem pchnięciem zabił siedzącą na  
przyźbie staruszkę, którą widywał co-  
dziennie i znał od kilkunastu lat. Nam  
tłumaczył, że to wcale nie była żad-  
na staruszka ani wogóle żaden żywy  
człowiek, bo człowiek krzyczałby,  
gdyby go ktoś pchnął nożem, „to by-  
ła tylko lalka, napewno lalka, bo by-  
ła nawet — jego zdaniem — „ustro-  
jona“. Zapytany doktor objaśnił nas,  
że staruszka rzeczywiście nie wydała  
nawet dźwięku; po ugodzeniu nożem,  
prawdopodobnie natychmiast straciła  
przytomność i umarła. Jak więc tłum-  
aczyć przestępcy jego czyn, gdy on  
jest przeświadczony, że tylko „lalkę“  
potrafił?

Wielu z pośród chorych, to epilep-  
tycy. „Wielka choroba“ zdarza się po  
wsiach dość często; występuje w wie-  
ku lat 15—18 i jest powodem licznych  
nieporozumień z istniejącym porząd-  
kiem społecznym i prawnym. W okre-  
sie ataku epileptycznego bowiem cho-  
ry znajduje się w stanie pewnego za-  
mroczenia i jest nadzwyczaj pobudli-  
wy na wszelkie pobudki zewnętrzne.

Odrębną grupę chorych stanowią  
t. zw. „głuptacy“. Niemal każda wieś  
ma swego „głuptaka“. Czasem to tyl-  
ko nieszkodliwy dla otoczenia niedo-



rozwój, czasem jednak zacołanie umysłowe przerażające się w zbrodni-  
czość.

Zakłady dla psychicznie chorych dostarczają swym pacjentom najbardziej sprzyjające warunki leczenia. Jednym ze środków leczniczych jest—praca. Chory pracuje bądź to we własnym zawodzie, obranym za czasów normalnego swego stanu, bądź też wykonywa pracę, uznaną za odpowiednią przez lekarzy. Na terenie zakładu znajduje się również sala teatralna ze sceną; tu chorzy występują sami w roli aktorów, niektórzy z nich grają na fortepianie, skrzypcach i t. d.

W ten sposób stwarza się chorym normalne warunki życia, dostarcza się im pracy i rozrywki, skierowuje się

myśl na inne tory, z których łatwiej wejść na normalną drogę.

Ale dla wielu chorych niema jeszcze miejsc w zakładach i szpitalach; pędzą oni swój nieszczęśliwy żywot, są ciężarem dla siebie i swego otoczenia, nie mają żadnych widoków poprawy w warunkach, w których się znajdują. Podczas kilkogodzinnego zwiedzania szpitala miałam możność stwierdzenia, że jak wielkiem zaufaniem odnoszą się chorzy do lekarzy szpitalnych. Spokój psychiczny, płynący od tych ludzi, poświęconych całkowicie łagodzeniu cudzego nieszczęścia i umiejętne obchodzenie się z chorymi, to niesłychanie ważne czynniki w akcji uzdrowienia.

K. Tuwanówna.

## Jeden długi i piękny dzień



Bywają dnie krótkie, przelatujące jak chwila, — i długie, złożone jakby z wielu, wielu dni.

Czas, wypełniony obowiązkami, dziwnie się skraca, a godziny szczęścia mijają zawsze zbyt szybko.

Ale są dnie, wlokące się powoli i żmudnie. Ciężka, nielubiana praca, leniwe oczekiwanie na coś, co ma nadejść, cierpienie, troska lub rozpacz, rozciągają w nieskończoność pasma dni.

Długim okresem życia może stać się również dzień, pełen wielu nowych i pięknych wrażeń i przeżyć, odbiegających daleko od zwykłej codzienności.

Takim długim, bogatym dniem była dla mnie niedziela 15 grudnia b. r. W czternaście i pół godzin, z pochmurnej szarej Warszawy — przeniosłam się do kraju zimy z bajki.

W sobotę po południu, saneczki huculskie, wesoło dzwoniąc, wiozły mnie i moich towarzyszy z Worochty do harcerskiego schroniska na Kostrzycy w Karpatach Wschodnich, które nazajutrz miało być uroczyste poświęcone i otwarte.

Ostatni etap dalekiej podróży rozpoczął się przy gajówce Kukul. Droga jezdna skończyła się. Służąca ga-

jowego, bosonoga Ołena, w barwnej spódnicy i haftowanym kożusku, brnąc czerwonymi nogami w śniegu, siodłała konia, mającego dźwigać nasze plecaki. Jeszcze 400 metrów stromego podejścia, przebytego we wczesnie zapadającej ciemności, częściowo na nartach, częściowo piechotą, i stajemy przed schroniskiem, mrugającem do nas życzliwie światłkami okien.

Mijam bramę podwórka nie bez wzruszenia. Przed oczyma staje mi słoneczny, wrześniowy dzień 1933 roku, w którym to, po dzikim, mało uczęszczanym, szlaku Kostrzycy wędrowały trzy entuzjastki i miłośniczki gór i nart. Wtedy to padły słowa: „A gdyby tak postawić tu nasze, harcerskie schronisko?”

W parę dni potem na południowym stoku Kostrzycy zakupiono za 200 zł pół hektara ziemi. Entuzjastki znalazły zwolenników. Powstało Towarzystwo Budowy Harcerskich Schronisk Turystycznych, z przewodniczącą p. Marszałkową Janiną Świtalską. Zbierano energicznie fundusze, inż. architekt Jerzy Żukowski rysował plany.

W maju 1934 roku w zaroślach mało dostępnej połoniny rozległ się stuk siekier i oskardów, a w niespełna dwa lata potem zabłysło światło w stylowej huculskiej zagrodzie pod szczytem Kostrzycy...

Mysle, że jednak naprawdę „chcieć, to móc”...

Otrząsamy się ze śniegu, oczyszczamy narty i wchodzimy do jadalni. Na zachwyty i roztkliwienie się, „że przecież naprawdę schronisko już stoi”, nie mamy czasu. Czeka na nas tak wiele roboty, że zapominamy o wszystkim i rzucamy się szaleńczo do rozpakowywania skrzyń z naczyńiami stołowymi, meblami, ceramiką dekoracyjną i kilimami.

Nazajutrz niedziela zaczęła się bardzo wczesnie. Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy obudził nas hałas ciężkich kroków i łomot stawianych skrzyń. — To pomocnicy nasi: Petro, Wasyl, Jurko i Iwan znosili z dołu resztę bagażu.

Jak tragarze abisyńscy, huculi dźwigali na ramionach łóżka żelazne, paki, wory z pościelą, beczki i kotły. Całe wewnętrzne urządzenie schroniska dostało się w ten sposób na wysokość 1.300 m. n. p. m.

Dochodziła godzina szósta rano. Czarność zimowej nocy okrywała jeszcze góry. Krzywo zawieszony rogat księżyc ukazywał się i ginał co chwila za chmurami. „Biłyłi”, duży i bardzo zły biały owczarek, czując wiele



nowych osób w pobliżu, ujadł jak wściekły.

Przy świetle płonącego kominka i lampy naftowej (elektryczność miała być dopiero uruchomiona wieczorem), Szymon (stróż schroniska), drobny, suchy, żwawy człowieczek, kończył szorowanie podłogi w jadalni. Przez co chwila otwierane drzwi do kuchni sączył się smakowity zapach bigosu, gotującego się od kilkunastu godzin. Z kuchni turystycznej, narazie zamienionej na kredens podręczny, dolatywał szcęk mytej i przecieranej porcelany.

Podczas gdy w schronisku gorączkowo sprzątano i szorowano, za rzędem wielu kwadratowych szybek działały się cuda.

Czarność nocy szarzała i odciął się wyraźnie na tle nieba łańcuch gór. Niby głowy cukru bielity się szczyty Czarnohory: Howerla, Breskuł, Turkuł, Dancerz, Pożyżewska i inne o nazwach nieznanych.

Blaszany sierp księżyca tkwił ciągle na posterunku.

Perłowa szarość zaczęła nabierać różowo-błękitnych tonów. Za górami wspendziło słońce. Blask światła spływał coraz niżej. Jeszcze chwila i w słońcu stanął cichy w okiści śnieżnej las świerkowy.

W jadalni nakrywano do stołu. Na długich, czystych deskach stołu ustawiano zimne przekąski. Ktoś walił młotkiem, przybijano do ściany piękne w barwach samodziłowe werety. Synowie Szymona, Michaś i Antoś, tak zwane „Szymonięta”, półprzytomni od ciągłych, coraz to nowych, poleceń, biegali bezustannie od piwnic do strychu.

Wieść o dniu poświęcenia schroniska na Kostryczy, rozeszła się po okolicznych wsiach. To też pierwszymi gośćmi byli huculi i huculki z Krywopola, Bvstrycy, a nawet z odległej Riczki, Prokurawy i Kosmacza. Zbierali się gromadkami przed domem, niektórzy zaglądali ciekawo przez szyby. Na tle śniegu grały bogactwem barw piękne, niespaczone miejskim gustem, huculskie stroje.

Zbierali się gromadkami przed domem...



O dziesiątej wpadli pierwsi narciarze-ściganty, po nich powoli przyjeżdżali konno na małych huculskich konikach goście stateczniejsi i przychodziły nieporadne na nartach patałachy.

Duma rozpierała gospodarzy, słuchających nieprzerwanym zachwytem nad stylem i urządzeniem schroniska. Piękne zharmonizowanie stylowej architektury budynku i wnętrza z nowoczesnymi urządzeniami, jak: elektryczność, kanalizacja, ciepła i zimna woda bieżąca, natryski i umywalnie, — oszałamiało turystów.

To też, przy wspólnym śniadaniu, wśród wesołej atmosfery, pełnej wzajemnej życzliwości, nie było końca mowom o wspólnej treści. Delegaci organizacji społecznych i turystycznych winszowali pięknej realizacji inicjatywy harcerskiej.

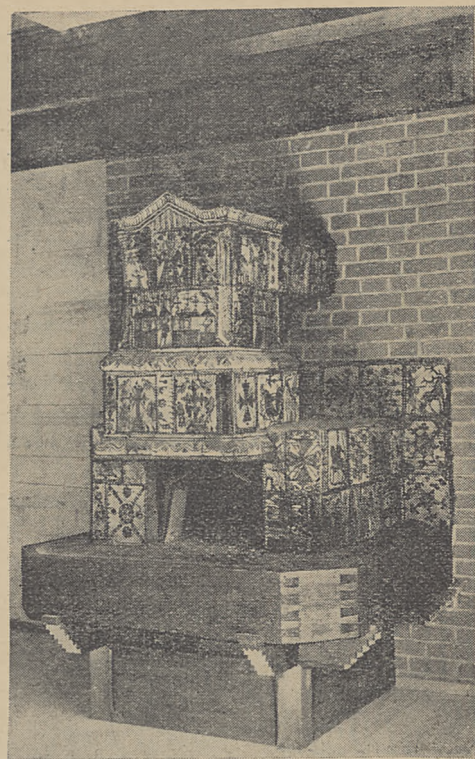
Tymczasem huculi tłoczyli się coraz bardziej przed drzwiami. Stoły zostały szybko sprzątnięte i nakryte po raz drugi. Przez szeroko otwarte drzwi wpłynął do sali kolorowy tłum.

To był niezapomniany widok.

Za oknami góry w potokach błękitu i słońca, a na tle jasnych, świerkowych ścian ciekawe i charakterystyczne postacie w barwnych strojach, tworzące jedną zwartą całość z ciemnym, o rzeźbionych belkach, pułapem, z brunatno-zielonym kominem, ceramiką na półkach i naiwnie na szkłe malowanym obrazem św. Jura, zabijającego smoka.

Jedli powoli i z godnością. Kobiety, wstydliwie uśmiechając się na propozycję piwa, prosiły o „horiłkę”.

A kiedy Wasyl, syn Romana z Kosmacza, wystąpił z mową, dziękując za pracę, którą mieli przy budowie, za przyjęcie, — i życząc wielu lat szczę-



W brunatno-zielonym kominie trzaskał ogień.

ścia, poczuliśmy, jak bliski nam staje się ten prosty, dobry lud, o trochę obco-brzmiającej mowie.

„Mnohaja lita” — brzmiały długo gromkie okrzyki serdecznych życzeń.

O godzinie 14-ej przyjechał konno ksiądz z Worochty.

Cisza panowała wśród zebranych, stali obok siebie goście z miasta i huculi. „Asperges me” zaintonował dźwięcznym głosem i z wielkim przejęciem młody niedawno wyświęcony ksiądz, który po skończonym obrzędzie przyznał się, że po raz pierwszy święcił domostwo.

Srebrne kropelki święconej wody rozprysnęły się po szkłe obrazu św. Jura.

W obawie spóźnienia się na pociąg, goście powoli żegnali się i schodzili w dół.

Przeplęnęła pierwsza fala ludzi przez cichą, dziką Kostrycę. Zmęczeni całodzienną wrzawą, zasiedliśmy wieczorem przy kominku, wspominając trud minionego dnia. W gronie naszym znajdował się uczestnik wyprawy na wyspę Niedźwiedzią, autor książki „Wyspa mgieł i wichrów”, inż. Centkiewicz.

Prośbie naszej nie odmówił.

„Kiedy wreszcie dotarliśmy do wyspy Niedźwiedziej”, potoczyło się opowiadanie o trudach walki człowieka z naturą.

Ogień na kominie trzaskał, przykuwały oczy jaskrawe, strzępiaste języki płomienia.

Jakże daleko byliśmy wszyscy od tych szarych, krótkich dni życia w mieście... Do późnego wieczora ciągnęła się długa, niezapomniana niedziela...  
H. Iwaszkiewiczówna.



## „B O K S”

Każdy miał, lub ma swego ulubieńca. Na srebrzystym ekranie wspomnień, szczególnie z dzieciństwa, występują ci nasi najlepsi przyjaciele, jak dobre duchy, strzegące domowego ogniska, więc proszę się nie dziwić, że piszę o jednym z nich. I proszę by nikt nie powiedział, że mój przyjaciel „Boks” jest brzydki, bo jeśli nawet — to przecież kochamy nietylko za urodę.

Gdy go dostałam, mieścił mi się cały na rękę. Był sierotą, matka zginęła przy jego urodzeniu, nie wiedział o tem, patrząc na świat, szparkami oczu mętne i załamane. Był przytem tak nieporadny i niezgrabny, jak słońce, miał nawet taki sam ogonek, wciśnięty tchórzliwie, w przegowany tułów. Postawiony na ziemi zasypiał natychmiast, opierając ciężką mu, brązową jak futbolówka głowę, o podłogę. Wysuwał mu się z pomarszczonej jak jabłko, aksamitnej „twarzyczki” języczek różowy niby płatek róży. Właśnie z tym języczkiem zawarliśmy wkrótce znajomość. Owijał się miękko i zachłannie wokół mojego palca, bo inaczej nie chciał jeść, ani z łyżeczki, ani ze smoczka. „Zginie twój chiński potworek”, mówiono mi, patrząc na te mozolne wysiłki karmienia. Ale jakoś rósł i robił się gruby, do futbolówki głowy, przybyła druga piłka tułowia, ale zawsze z przewagą objętościową tej pierwszej, wtedy zaatakował moje pompony od pantofli i zaczął sam opróżniać spodeczek z kaszką manną, nieco ocukrzoną, gotowaną na mleku z wodą. „Wstyd pieścić się tak z psem”, powie może ktoś. Więc proszę spróbować, gdy taki nieporadny, pluszowy niedźwiadek wspina się na kolana — odepchnąć go, lub nie pozwolić mu zasnąć, wtulonemu zamsem

malutkiego ciała, w szyć, lub nie starać się dać mu jeść, gdy piszczy i płacze, a po mordce pomarszczonej w fałdy i brózdki, toczą się wielkie, niemowlęce łzy — proszę spróbować, ja nie potrafię.

Boksik chował się dobrze, nie przechodził nawet nosówki, na co wpłynęło to może, że nie miał styczności z innymi psami, robił pierwsze stójki do żab w ogródku i otrząsał się ze wstrętem na widok ziemnej glisty. W okresie zimy, gdy zaczął chudnąć, dawałem mu tram z fosforem, (na czubek noża) dwie łyżeczki dziennie. Smakowało mu to nadzwyczajnie, nic raz chciał sam dobrać się do tego specjału, butelka stojąca nisko na półce, była często czule lizana, a nawet toczona po ziemi. Z kaszki przeszliśmy na gotowane mięso; drobne jak szpileczki, ostre ząbki, z rozkoszą rzucały się na wszystko: końce firanek, nogi od stołu i nasze własne, wobec tego zaczęliśmy mu dawać kości cielece do ogryzania. Robił to z całym smakoszoństwem łakomczucha. Powoli zaczynał nabierać zręcznych ruchów, podkradając się do bufetu, jak pantera na aksamitnych łapach, fałdowała mu się na grzbiecie przegowana skóra, szyta jakby na zapas, nos z lubością wciągał smakowite wonie, a długie sopte śliny zwisały z mlaskającego pyska, każąc drzeć różowemu języczkowi. I oto pewnego dnia „Boksik” przypuścił szturm do brązowej fortecy bufetu, łudem nadła złocista, chrupiąca kuropatwa. Mały potwór chiński tyknął ją jak pigułkę, o ironjo! a ja krajałam mu mięso na drobne kawałki, by się z łapczywości nie udławił. Od tego dnia poznał, co to pokuta. Bić buldogów nie można, gdyż



*Boks uwielbia dalekie spacerki....*

nie daje to żadnych rezultatów wychowawczych, zato kary moralne jak np. przywiązywanie za pokutę i wstyżenie, doskonale wpływa na charakter — wie o tem dobrze Boks, toteż jako stare już psisko, siada sam pokornie na pokucie, gdy coś zbroi, ma przytem oczy pełne łez i co chwila wyciąga łapę na przeprosiny, a tego to już nikt go nie uczył.

Czy psy są muzykalne, oto pytanie, które często mnie interesuje, Boks reagował na muzykę z całym znan-



*I proszę by nikt nie powiedział, że mój przyjaciel Boks jest brzydki....*



*Szeroka, muskularna pierś boksera....*



stwem, przy smutnych pieśniach siada przy fortepianie, marszczy zabawnie pysk, wznosi łeb i zaczyna się cichutkie wycie, przechodzące w szlochanie. Bronzowe oczy, zupełnie ludzkie w wyrazie, błyszczą, w kątach oczu napływają łzy, a w gardle kłębią się dźwięki tęsknoty, bólu, zachwytu. Któż wie, co chce powiedzieć, gdy słucha Szuberta, lub Czajkowskiego, bo przecież jedynej tylko rzeczy nie mają nasi przyjaciele, to mowy doskonałej, by móc się z nami całkowicie porozumieć.

## MODA KARNAWAŁOWA

Wbrew przepowiedniom i oczekiwaniom, wbrew — zdawałoby się — trzeźwym kalkulacjom zdrowego rozsądku — tegoroczny Sylwester był ruchliwy i ożywiony. Wszędzie było rojno i gwarno: w restauracjach, dancingach, nawet — kawiarniach (gdzie zresztą też tańczono).

Karnawał (którego miało nie być) upomniał się hałaśliwie o swoje prawa i, w trzasku pękających (mniej efektownie, lecz za to liczniej niż butelki szampana) kolorowych baloników, wkroczył w Noc Sylwestrową do stolicy. Wkroczył strojny, olśniewający baśniowym przepychem brokatów, paradoksem aksamitów połyskliwych, jak lama, przejrzystych, jak gaza i mieniących się dwubarwnie; innych — stanowiących niespodziewaną symbiozę z taftą i sztywnych, jak ona; mor wzorzystych, jak zamazłe na szybie kwiaty zimy, taft opalizujących przedziwnie aż czterema kolorami.

Wkroczył w blasku brylantów (sztucznych, lecz grających żywymi ogniami autentycznych klejnotów), cekinów kunsztownie szlifowanych, haftów wypukłych, metalizujących, skór złożonych i srebrzonych, z których wyplata się i wytłacza szerokie, florenckie paski, oraz misterne, spinnane brylantowemi klamrami sandałki-pantofelki.

Wróciła, przwiana szerokim karnawałowym oddechem aż z paryskich kabaretów, moda paznocy srebrzonych, złożonych, opalizujących. Wróciły włosy farbowane irracjonalnie na czerwoną miedź, różowe złoto i srebro, mieniące się bżowym błękitem. I wpinane w loki o sprzecznej z naturą barwie girlandy kwiatów, brylantowe agrafy o kształcie gwiazd, albo wysokie, koronujące sylwetkę djademmy.

I rzęsy „do pasa”, mozolnie przyklejane włoski do włosów przez precyzyjne a niestrudzone paluszki kosmetycznych pracownic.

Dystyngowana, spokojnie niezawodna czern została zepchnięta na plan trzeci przez barwy żywe, jasne i jaskrawe. Trudno określić kolor

Boks siedzi w tej chwili przy mnie nieruchomy, jak smok chiński, wie, że gdy piszę, przeszkadzać nie wolno, Szeroka muskularna pierś boksera wznosi się równym oddechem, czuje się bezpiecznie pod nadzorem tego opiekuńczego sfinksa. Tak bliski mi jesteś przyjacielu! A teraz wielki łeb, jak żółw kładzie mi się na kolana i czarny, spierzchnięty nos wytrąca pióro. — Boks przypomina, że trzeba iść na spacer, a przecież oboje dbamy o linię.

Zofja Kelus-Lipkowska.

najmodniejszy — wszystko łśni i mieni się, niczem skrzydła egzotycznych motyli. A im bardziej mieni się i błyszczy, w tem większej pozostaje harmonji z kameleonowatym charakterem mody karnawałowej.

Niektóre z wieczorowych kreacyj kształtem i objętością przypominają dzwony (z tych największych). Tafta albo woskowana na sztywno mora, układają się twardo, jak blacha. Szeroka, marszczona od góry spódnica, rękawy-buffy wysoko do góry wydęte, czasem jeszcze stercząca wokoło szyi suta kreza kołnierza. Najsmuklejsza kobieta, ustrojona w takie dziwo, wygląda jak gmach reprezentacyjny — imponująco. — Czy ładnie? — Bo ja wiem? De gustibus non est disputandum.

A oto inna modna sylwetka karnawałowa: plisowany jedwab opływa ciało miękko i ciasno, jak antyczny peplos. Zakrzyżowane fałdy stanika spina wiązanka kwiatów, albo wiąże bardziej skomplikowane draperje sznur. Czasem zbwnią prostotę męcą bardziej skomplikowane draperje przekładane skośnie pod nogą, nad nogą, przewiiane dookoła bioder. Wpływy Wschodu wypaczają surową szlachetność wczesnego Hellenizmu.

Mamy zresztą w modzie karnawałowej i remiscencie Średniowiecza i przebogatego włoskiego Odrodzenia. Tycjanowskie Dogaressy sąsiadują ze spowitemi w srebrne lamy aniołkami. Wtem wszystkiem błąka się sporo Abisynii, niemało inspiracji wojskowych (militarystycznie włoski krój wojskowych sorties-peleryn). Czasem niemile zatrzyma oko jakaś wymyślnie brzydka szata, najwidoczniej skomponowana pod wpływem wspomnień niefortunnej mody z końca ubiegłego stulecia.

Pomieszanie stylów wytrąca ołówkę z rak najbardziej zblazowanej sprawozdawczyni. Czego tu się trzymać? Jakże wskazywać wytyczne? Moda zdaje się składać z samych zaprzeceń.

Przy treniastej tualecie z pastelowo-różowej mory — kołnierzyk a la

bébé, zapięty pod samą brodą, wygląda jak przykre nieporozumienie. Za to poprawny smoking, zsunięty z ramion, ujawnia dekolt, sięgający pasa na plecach i mało co powyżej — z przodu. Najwspanialsze z brokatowych tualet, zaopatrzone w anielskie rękawy-skrzydła, wlokące się majestatyczną rezygnacją po ziemi, co wybitnie utrudnia taniec i poruszanie się w balowym tłoku.

Treny, obowiązujące przy galowych tualetach, jakkolwiek bezsprzecznie podnoszą malowniczą reprezentacyjność postaci, też trudno do ułatwień ciężkiego, balowego życia zaliczyć. Wiecznie się o coś zahaczają, zawsze się ktoś o nie w końcu potyka — jak nie tancerz to mąż, cierpliwie a wytrwale piastujący w cieniu sukcesów żony jej futrzaną zarzutkę.

A propos futer — nikt nie zgadnie, gdzie się je ostatnio umieszcza. Na rękawiczkach!!!... Ale nie, jak dotychczas, na rękawiczkach sportowych, a właśnie — na balowych. I to futra najpuszystsze, całe pasy srebrnych lisów od dłoni aż do ramienia. To zwierzchu; spód jest oczywiście ciasno dopasowany i zrobiony z najcieńszego, elastycznego zamszu. W dalszym ciągu modne są balowe rękawiczki z aksamitu i lamy.

Naimilszą i najrozsądniejszą z karnawałowych nowości stanowią wieczorowe kapturki do wyjścia, robione z aksamitu, brokatu i duvetine'y; stapiające się w całość z wieczorowemi zarzutkami albo od nich niezależne. Skutecznie chronią kunsztowną balową fryzurę przed wilgocią i rozburzeniem, a jej właścicielkę przed przeziębieniem — ceną płacaną zbyt często za karnawałowe szaleństwo.

Well.

## Kobieta... bez wieku

Pierwszy raz jest przykro... Gdy, mając lat 25, słyszymy po raz pierwszy „ach, jak młodo wyglądasz” — robi się jakiś nieswojo na duszy. „Jako, więc nie jestem już naprawdę młoda...” budzi się trwożne pytanie. Gdy lat liczymy już o wiele więcej — komplement, „ach, jak młodo Pani wygląda” sprawia nam wiele przyjemności — chcemy mieć wrażenie, że osiągnęliśmy cel, dla którego nie szczydziłyśmy ani czasu, ani trudów.

Amerykański pisarz, Bromfield, skreślił w powieści „24 godziny” portret kobiety, która poświęciła życie pielęgnacji swej urody. Rozporządzając wielkimi środkami pieniężnymi, mając do dyspozycji cały sztab lekarzy, nie szczydząc heroicznym wprost wysiłków, fanatyczna ta wielbicielka swej własnej urody, osiągnęła fenomenalne wyniki, dość, że w pode- szłym wieku nie miała ani jednej



zmarszczki. A jednak, nietylko na ludziach, którzy zachowali w pamięci obraz jej z czasów młodości, lecz nawet na całym otoczeniu sprawiała niesamowite wprost wrażenie — była kobietą bez wieku. Romantyzm niemiecki dał światu urojoną postać człowieka, który, będąc pozbawiony cienia, budził grozę w swym otoczeniu (Chamisso, „Peter Schlemiel”). Nowoczesnym odpowiednikiem „człowieka bez cienia” jest „kobieta bez wieku”. Ulice wielkich miast, modne plaże i uzdrowiska roją się od „kobiet bez wieku”.

„Na czole, na skroni zmarszczki, tysiące zmarszczków pod brodą się chroni”... biedna Telimena nie znała nowoczesnych środków kosmetycznych. Tadeusz omylił się, „bo młodzieńcowi młoda jest każda kobieta”, lecz między Telimeną a Zosią była przepaść. Dzisiaj mówimy, że „matki wyglądają jak rówieśnice swoich córek”. Oznacza to ni mniej, ni więcej — tylko to, że między dziewczęciem osiemnastoletnim a dojrzałą kobietą około czterdziestki niema żadnej, lub prawie żadnej dostrzegalnej różnicy. Wydaje się to paradoksem, bo przecież ten swoisty, a tak przelotny czar, który stanowi kwintesencję młodości nie daje się wytworzyć w retortach chemików. Odpowiedź jest tylko jedna: również i w tej dziedzinie odbywa się „rów-

nanie w dół”. Córki widocznie też chcą być „kobietami bez wieku”. Gdzież są jasne warkoczki, przejrzyste spojrzenia, niewinne rumieńce, muszliny, falbanki po tylekroć opiewane przez poetów? Jeżeli łatwo zrozumieć, dlaczego kobiety, ogłędnie zwane „starszycami” farbują siwiznę i ukrywają starość, tem trudniej można dociec, dlaczego młode dziewczęta tlenią włosy, karminują usta, czernią brwi i ukrywają... młodość.

Jeżeli zaś „kobieta bez wieku” zechce być szczerą wobec samej siebie i dowiedzieć się „czy jest jeszcze młoda”, gdzie szukać prawdy? Ludzie kłamią i „lusterko kłamie Ci też”, jak mówi popularna piosenka. A jednak istnieją niezawodna oznaka młodości, a jest nią... nadzieja. Jeżeli pierwszy śnieg budzi w nas myśl o nartach i ślizgawce, a nie o reumatyzmie i drożyznie węgla, jeżeli pod wpływem optymistycznych mów p. Ministra Skarbu zaczynamy wierzyć w koniec kryzysu, jeżeli słowo „jutro” ma dla nas dźwięk czarodziejski... jesteśmy jeszcze młode. Jeżeli dni nasze są krótkie, barwne, urozmaicone, a lata długie... jesteśmy jeszcze młode. Jeżeli z rozpoczynającym się rokiem budzi się w nas nadzieja i wiara w lepszą przyszłość... jesteśmy jeszcze młode!

B. Abramska.

## DROBIAZGI

### Serce.

Serce jest bardzo w modzie, oczywiście, jako klejnocik, z kryształu górskiego albo... z brylantów. Inkrustacje futrzane, zdobiące rękawy żakietów zimowych są także w kształcie serca, zarówno jak ręczne torebki.

### Kryształ.

Ogromnie modny w tym sezonie, pięknie cyzelowany, w postaci krzyżyków, klamer, broszek; oprawy zegarków bransoletowych, motywów w kształcie kwiatów i liści. Przy sztucznym świetle rozsiewa cudowne ognie i znaczą tualete piętnem wytworności.

### Siatki.

Tualecie wieczorowej towarzyszyć będą w tym sezonie siatki na włosach: jedwabne lub metalowe, osypane perłami, drogiemi kamieniami (sztucznymi), dżetami... szarmonizowane z barwą sukni. Nosi się je na tyle głowy, tak, by opierały się na karku i więziły bogactwo loczków.

### Kwiaty i pióra.

Powrócili już do łaski na kapeluszach i przy uczesaniach wieczorowych. Kładą często nieoczekiwaną, barwną nutę na strojonej tualecie, czasem na przedzie stanika, prawie pod brodą, czasem na plecach, dla podtrzymania draperji. Ale tylko duże kwiaty, nigdy małe kwiatki w stylu rococo.

\*\*

Wytworna elegancja wymaga harmonji pomiędzy obuwiem, rękawiczkami i torebką.

Wiemy o tem wszystkie i wiemy również, jakie to trudne do zrealizowania.

Rękawiczki zawsze jeszcze długie, zachodzące mankietem na rękaw, barwy jaskrawej towarzyszą ciemnym lub czarnym talleur'om dziennym. Futrzane rękawiczki nosi się do futra i do toalety wieczorowej.

Torebki mają kształty nowe: wyglądają czasem, jak prostokątne pudełka, czasem, jak balony lub jaja. Przy toaletach wieczorowych, stają się czasem malutkimi pudełeczkami do ołówków kosmetycznych i zawisają na bransoletce u przegubu ręki kobiety.

A perfumy? W miniaturowych flakonikach kryją się w klamerce, podtrzymującej draperję sukni, lub w agrafie, strojącej włosy. Czasem też znajdują schronienie w kamieniu pierścionka, zdobiącego palec, — jak ongiś trucizna renesansowych księżniczek.

### Stopa — i sandał.

Najbardziej upośledzona przez kobietę, najmniejszym staraniem otoczona jest niewątpliwie stopa, pomimo, że przeciążona pracą, ma jednak prawa do „piękności”. Zatraskała się o nią moda i wprowadziła w Paryżu, do sukien wieczorowych i balowych, greckie obuwie: — sandał na płaskiej podeszwie, bez obcasa — przytwierdzony jedynie rzemykami do nogi — zupełnie nagiej. Zapewne — tania ta, napozór, moda — niedostępną okaże się dla szerokich mas — z powodu tak częstych zniekształceń stopy. Moda nie broni wszakże

nałożenia pięknej pończochy, — co już ułatwi nieco sytuację, — a dla osób małego wzrostu, skonstruowała nawet specjalne koturny na obcasiku Louis XV.

Naogół jednak, obcas tak zwany u nas „francuski” nie jest modnym. Wypiera go kwadratowy obcas „słupkowy”. Szczęśliwy to zbieg okoliczności dla tych biednych, umęczonych stóp naszych. Odpoczną sobie, a zmuszone pokazywać się „nago” — wypięknią pod wpływem starań i zabiegów.

## Cały świat nosi „Fresco”

Utrapione słowa: kryzys, redukcja, obniżka pensji, które tak dotkliwie zaważyły na budżecie domowym przeciętnej uposażonej rodziny okroiliły i tak niewielką rubrykę, przeznaczoną na ubranie pani domu. Napróżno dłoń, uzbrojona w ołówek, walczy przez długie godziny, przywołując do pomocy wszystkie cztery działania wraz z dodatkiem tablic logarytmicznych i pokrywa stronic tajemniczymi znakami kabalistycznymi. Wszystko daremnie! Skrawek budżetu — maleńkie zwierciadło własnego „ja”, kurczy się i maleje w dalszym ciągu, czasami nawet rozpryskuje się w tysiączne drobne odłamki. Cóż robić? Jak znaleźć klucz do rozwiązania tego zawiłego zagadnienia?

Miłą rewelacją będzie dla tych wszystkich pań materiał, wyrabiany przez znaną łódzką fabrykę włókienniczą I. K. Poznański i noszący oryginalną nazwę Fresco. Właśnie uroczyste wprowadzenie w świat Fresco odbyło się niedawno w kawiarni Milano przez konkurs na najładniejszą suknię, uszytą z tej tkaniny. Co kryje się pod tajemniczą nazwą Fresco? — to pytanie nurtowało publiczność, licznie wypełniającą salę kawiarni.

Sympatyczny konferancier, p. Ludwik Sempoliński wyraził nawet przypuszczenie, że lansowany przez łódzką fabrykę wyrób jest równoznaczny... z malowaniem al fresco..! Ale tak źle nie było! Okazało się, że Fresco to poprostu materiał. Niezwykle szczęśliwa kombinacja bawełny ze sztucznym jedwabiem, tkanina, odznaczająca się całym szeregiem zalet. Więc najpierw piękne i estetyczne barwy, począwszy od powagi ciemnego granatu, poprzez całą gamę odcieni brązu i zieleni, aż do wesołego koralu. Następnie, jak zapewniają właścicielki sukienek z Fresco, materiał ten nietylko układa się w ładne, miękkie linje, ale i nie gniece się łatwo.

Przedewszystkiem, trzeba podkreślić baweczną jego taniłość. Pomysleć tylko, że cena jednego metra nie dochodzi złotych... trzech. Jakie cuda powstają z Fresco o tem przekonała nas najlepiej barwna defilada modelek w Milano. Jury, w skład którego weszli p. dyr. Zdzisław Jabłkowski, p. dyr. Gustaw Okoński z F-my I. K. Poznański i p. Hanna Muszyńska z ramienia tygodnika Kobiety, znalazło się w prawdziwym kłopotcie, komu należy przyznać nagrody. Każda kreacja stanowiła arcydzieło. Doprawdy, wszystkie panie powinny otrzymać zaszczytne wyróżnienie.

Pierwszą i drugą nagrodę otrzymały kreacje Spółdzielni Pracy Absolwentek



Szkół Rękodzielniczych „Inicjatywa”, dla których konkurs był, zdaje się pierwszym, ale bardzo udatnym występem w krainie pani Mody. Nagroda trzecia przypadła firmie B-cia Jabłkowscy. Właścicielki nagrodzonych tualet otrzymały od firmy I. K. Poznański miłe upominki, w postaci dwutygodniowego (pierwsza nagroda), względnie tygodniowego pobytu w Zakopanem lub ich równowartości pieniężnej. Pozatem właścicielki wyróżnionych sukien — kupon Fresco. Publiczność gorącymi oklaskami witała pojawienie się na estradzie każdej tualety i jak za-

wsze w takich wypadkach bywa, żywo manifestowała swój indywidualny gust. Bogatą dziedzinę sukien wizytowych, skromnych domowych, biurowych zdobył nowy materiał fabryki łódzkiej szturmem i to w błyskawicznym tempie. Z pewnością już za kilka tygodni sprawdzi się przepowiednia piosenki Golda i Petersburskiego, że „Fresco nosić będzie cały świat”. A i nieszczęśliwy, poćwiartowany w niezliczone rubryki budżet domowy przywita Fresco ze szczerym uśmiechem zadowolenia. Nareszcie pojawił się prawdziwy jego sprzymierzeniec!

*Halina.*

## LEN WILEŃSKI

Centrala Bazarów Przemysłu Ludowego w Wilnie zorganizowała w Warszawie pokaz i stałą sprzedaż, pod hasłem „Len Wileński”.

Już przez okna sklepu rzucają się w oczy prześliczne zasłony i narzuty, efektownie rozpięte w ramach. Obok typowych, wileńskich „mijanych wzorów”, wiszą bardziej zmodernizowane, w prześlicznej gamie odcieni. Dalej zwoje materiałów grubych, gładkich ze lnu farbowanego trwałymi barwikami, a przeznaczonych na pokrycie mebli.

Zachwycają firanki lniane, plecione na wzór sieci (wileńskie) i bardziej skomplikowane nowogródzkie, nadające się do każdego literalnie wnętrza. W pobliżu ciekawa nowość — maty, plecione z trzciny lub słomy, wiązane lnem na wzór japońskich ściennych mat.

A w ślicznej, okrągłej sali bardzo harmonijnie skomponowanej przez prof. Kurzątkowskiego, nie wiadomo doprawdy od czego zacząć oględziny.

Bo leżą materiały lniane na bieliznę, suknie i kostjumy w różnych odcieniach, gładkie i tkane w ażury, paski i smugi. Obok nich kolorowe, grubsze i cieńsze, barwione trwałe. Prześliczne „kupy”, tkane w deseń częściowo, a częściowo gładkie do wyszkania, jako motywy dekoracyjny do każdego kulturalnego wnętrza.

Materiały meblowe i poduszki z frendzlą, już od dwóch złotych. Materiały ręcznikowe w całej serji gatunków i na bieliznę stołową. A obok zaraz gotowe wyroby, żeby każdy mógł przekonać się naocznie, jak to w praktyce wygląda.

Len, len w postaciach zupełnie zachwycających. A już nie można się dosyć nacieszyć poduszkami i „peretykami” poleskimi, haftowanymi lnem na lnie. Są tak szarmonizowane w barwie i tak zwarte we wzorach, że wyglądają, jak przepyszne makaty, nie ztracające nic ze swego stylu. Czarno-białe hafty poleskie, znane i uznane ukazują się nadal w swej doskonałej formie. Zastosowane, jako motywy do serwet i serwetek dekoracyjnych, są prześliczne. Obok czarnych, haftowane kolorem czerwonym, bardzo wykwiutnym, jakby starym, spłówałym różem.

Ten pobieżny przegląd tego, co można mieć i widzieć, zakańczają koszule męskie dzienne i nocne. Wieczne! W modnych fasonach, swoje i śliczne.

Bogaty pokaz zamykają samodziały grube, wełniane jednobarwne i przerabiane. Przepyszne, jako materiał na grube spodnice, palta i letnie kostjumy. Przy nich grube filce białe na kurtki narciarskie.



*Lniana tkanina poleska.*

I jeszcze śliczne, t. zw. „czworonity” na zasłony do drzwi i okien.

Ale, doprawdy, wszystko to trzeba zobaczyć!

*Mar. Dobr.*

## Kosmetyka w służbie karnawału

Minęły już święta, wstępujemy w okres karnawału, kiedy życie zbiorowe, w myśl starej, choć nieco zmienionej dziś już w swej formie, tradycji, ogniskuje się w salach balowych, dancingach i, coraz rzadziej zresztą, w salonach prywatnych. Chciałabym przeto, dzisiejszą moją z Czytelniczkami pogawędkę poświęcić wymaganiom, które narzuca pięknu kobiecemu atmosfera zabawy, a w szczególności sprawom, związanym z doraźnym upiększaniem.

Upiększanie doraźne, czyli t. zw. „maquillage” nie jest bynajmniej dopełnieniem jedynie poskąpionych urodzie kobiecej przez naturę darów. Pojęty należycie, umie on, ponadto wydobyc z charakteru twarzy pełnię jej walorów. By zadaniom tym sprostać, musi on wszakże, nietylko pozostawać w harmonijnej zgodzie z porą dnia i roku, warunkami chwili, światłem, suknią i t. p., ale przede wszystkim, być poniekąd istotnym dziełem sztuki, nie zaś banalną jakąś, a lichą jego reprodukcją. A zwłaszcza, nie narzucać się oczom ludzkim swoją obecnością, lecz odrośnięcie rozpraszać ich uwagę na wszystkie te szczegóły w swem są-



*P. ministrowa Matuszewska w chłopskiej guni z szarego sukna na pokazie lnu wileńskiego.*



siedztwie, które podkreślić i uwydatnić winien dobry maquillage. Aby ten poziom osiągnąć, musi on być w zamierzonym efekcie uważny, ostrożny i raczej skąpy, niż nadmiernie szczodry, pamiętając, że asekuracją od wulgarności jest przede wszystkim poczucie miary.

Nader ważnym warunkiem, co się samo przez się rozumie, jest utrzymanie w należytej kulturze samego terenu maquillage'u, czyli skóry. Niema, oczywiście mowy, by się to dało osiągnąć z dziś na jutro, z drugiej zaś strony, trudno jest mówić o dobrych rezultatach na zaniedbanej glebie. Nie potrzebuję tu również chyba przypominać, że zabieg upiększający poprzedzić trzeba starannym umyciem, a często nawet, głębszym oczyszczeniem skóry, oraz odpowiednim podkładem pod puder, bądź w postaci kremu, bądź w postaci mleczka, zależnie od rodzaju skóry, z jaką mamy do czynienia. Instytuty paryskie stosują w tym razie niejednokrotnie podkłady barwione, celem osiągnięcia pewnego, dowolnego charakteru czy typu urody; co zazwyczaj jednak daje efekt, zbyt sztuczny, abym go miała zalecać. Podkład z kremu, czy mleczka winien dobrze nasycić skórę; nadmiar jego zbieramy miękkim, lnianym ręcznikiem, lub jedwabną, mięciutką bibułką.

Biorąc na końce dwóch palców odrobinę różu w postaci kremu, dotykamy niemi zlekka policzka w pobliżu nosa, poczem przesuwamy się ku wierzchołkowi policzka poniżej oka, następnie sięgamy ku skroni i zlekka, ledwie widocznym obłoczkiem, kładziemy róż u zewnętrznego kąta oka na górną powiekę, tuż pod łukiem brwiowym, nie dochodząc jednak do jego połowy. Różu nie trzeba wcierać, aby go utrwalić na skórze, jak to czynią nieraz osoby, ozdabiające swą twarz w okrągłe, bądź owalne placuszki. Trzeba nim skórę nasycić umiejętnie, stopniowo, obniżając nasilenie tonu różowego do coraz bledszych cieni, zlewających się w harmonijną różowość z ogólnym tłem. Przy twarzy wąskiej, a długiej, róż nałożymy jedynie, począwszy od wierzchołka policzka i opuszczymy go cokolwiek niżej, jak przy różowaniu twarzy o owalu zaokrąglonym. W ten

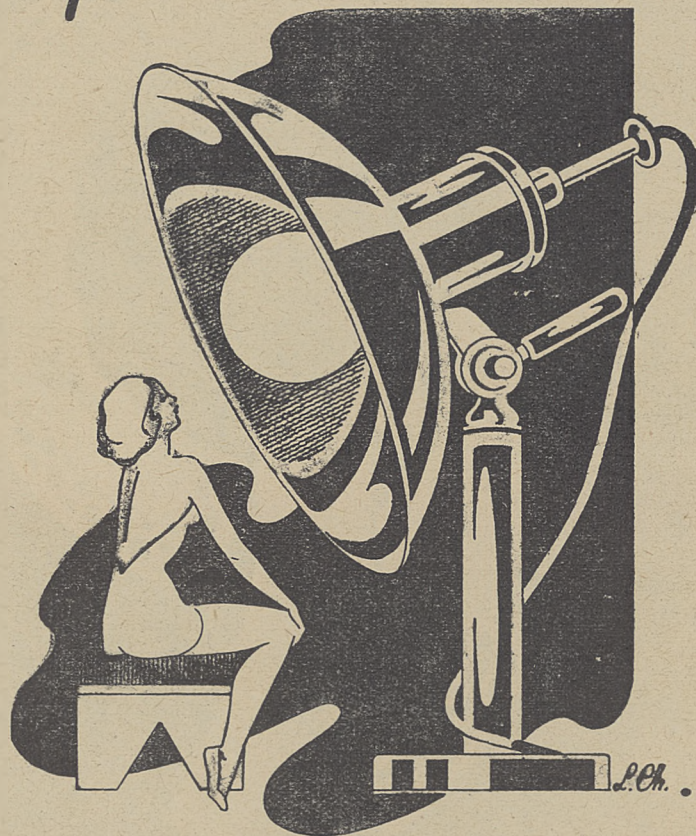
sposób twarz optycznie trochę poszerzamy. Zabieg musi być wykonany z precyzyjną dokładnością w lustrze i pełnem oświetleniu, i bez zbyteń pośpiechu.

Reasumując podane tu wskazówki, nakładania różu, zaznaczmy, że ważną jest rzeczą lokalizowanie barwnego efektu. możliwie wysoko, sprzyja to bowiem pewnemu wyjaśnieniu i odmłodzeniu rysów twarzy; w odwrotnym wypadku obciąża on je raczej i opuszcza ku dołowi, co tem samem postarza.

Po urozówaniu twarzy, pudrujemy ją, posługując się, dla osiągnięcia dodatniego efektu dwoma odcieniami pudru. Najpierw pudrujemy twarz pudrem jaśniejszym, nie wcierając go jednak w skórę, lecz jedynie wbijając tamponem z waty; upudrowaną obficie twarz pozostawiamy na kilka minut w spokoju, aby puder dokładnie przyległ do skóry, poczem usunąwszy nadmiar, położymy drugą warstwę pudru w kolorze już ciemniejszym w ten sam sposób, omijając jednak czoło, które winno być upudrowane pudrem jaśniejszym, co daje wybitny efekt odmładzający. Amerykanki używają nawet do czoła i szyi zawsze pudru białego. Powiedzmy, tu mimochodem, że w chwili obecnej, wbrew dotychczas panującej modzie, Paryż i Londyn lansują pudry w kolorach różowych i naturalne w różnych nasileniach i odcieniach, z wyraźnie zaznaczoną tendencją ku jaśniejszym odcieniom.

Zajmiemy się teraz z kolei ustami. Przede wszystkim, musimy je dokładnie osuszyć, róż trzyma się bowiem dobrze jedynie na powierzchni suchej. Nie nadawajmy przytem ustom fantastycznych kształtów, lecz uszanujmy raczej, w miarę możliwości, ich kontur wrodzony. Rozpoczynamy od wargi górnej, wystrzegając się nadmiaru pomadki, co zapewni jej wygląd bardziej naturalny, poczem zacisnąwszy

*promienie zdrowia*



**TUNGSRAM-LUX**

**L.A.M.P.A. D.O.M.O.W.A.**

*do naswietlań leczniczo-kosmetycznych*

*— tania oszczędna w użyciu*

*Prospekty wysyła bezpłatnie*

ZJEDNOCZONA FABRYKA ŻARÓWEK Spółka Akcyjna,  
Warszawa, ul. 6-go Sierpnia 13.

usta, przekazujemy w ten sposób barwnik wardze dolnej, zapewniając jej tym sposobem ten sam wykrój i wyraz, a następnie zaciskamy lekko w wargach płatek miękkiej bibułki, celem zebrania nadmiaru pomadki. Lekki ślad cold creamu na ustach, położony następnie, nada im piękny połysk. Nie zapominajmy o brwiach oraz rzęsach, które wydłużyć należy odpowiednim tuszem, stosując go tylko do rzęsy górnej. Nadmiar tuszu zebrać należy twardą, czystą szczoteczką. Tą samą szczoteczką ułożyć należy brwi, oczyszczając je z pudru.

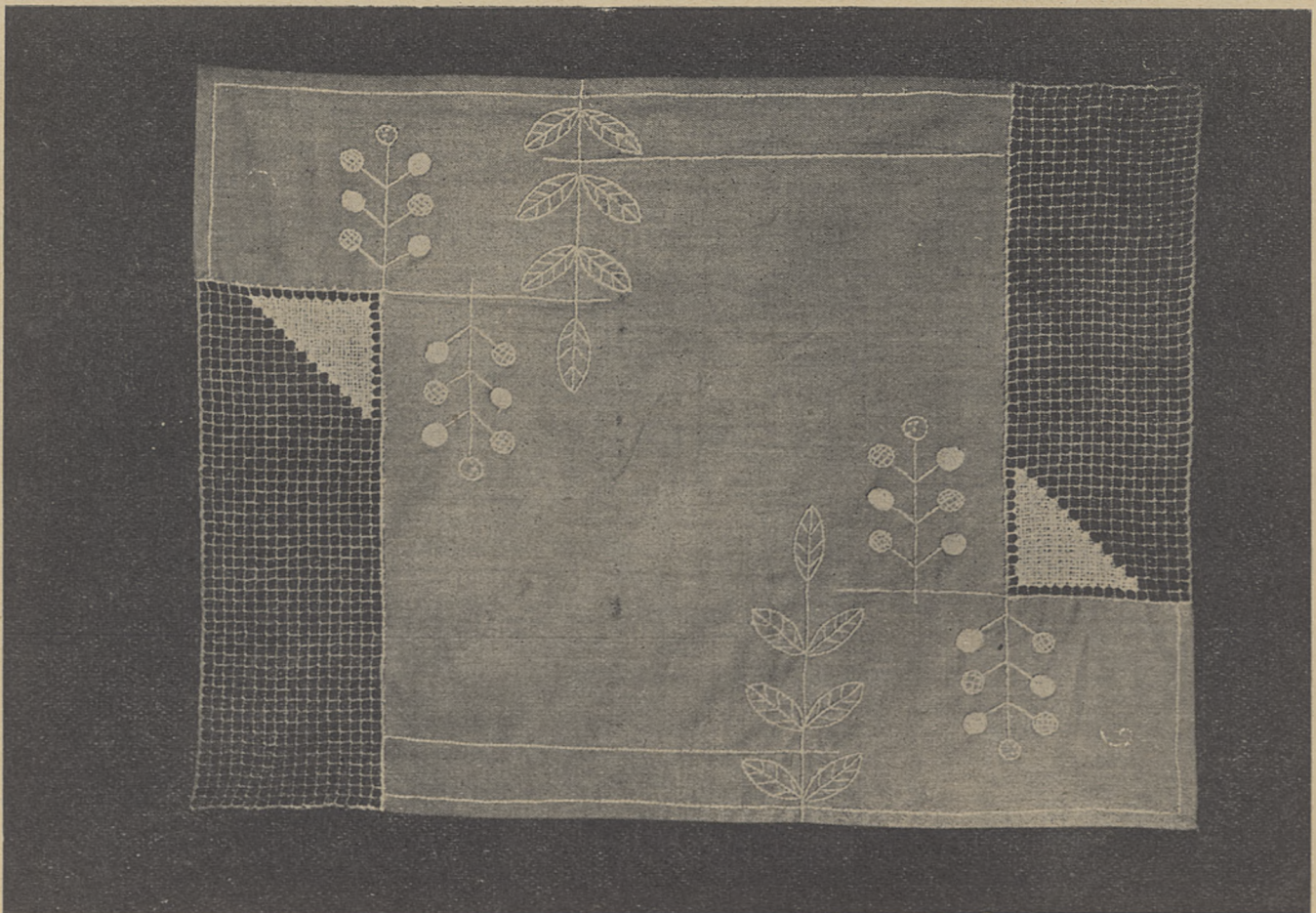
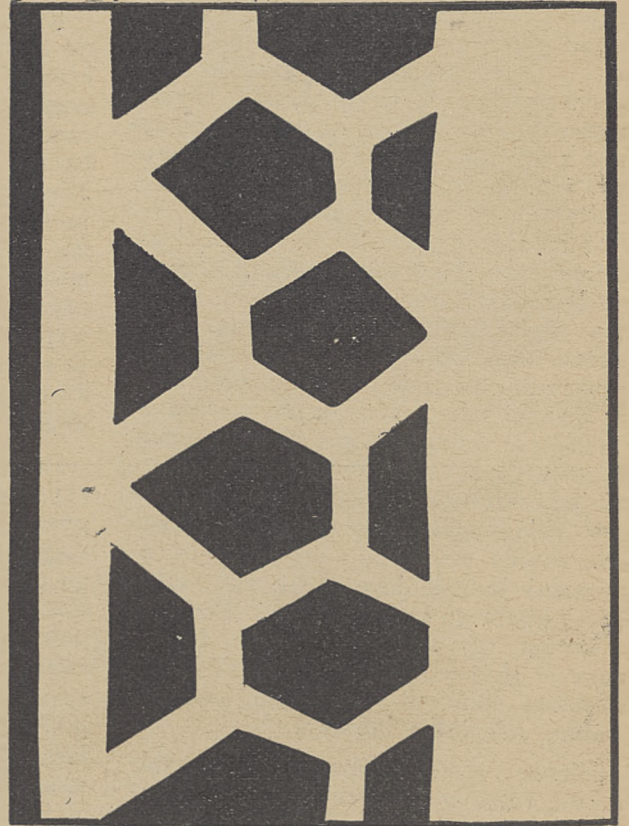
Pozostają jeszcze kwestje, dotyczące oprawy oka, o których pomówimy za następnym razem.

*Magdalena Poznańska.*





*Kotnierzyk i mankiety z białego filcu, lub grubego sukna wycinane w ażurowy deseń podług podanego poniżej wzoru.*





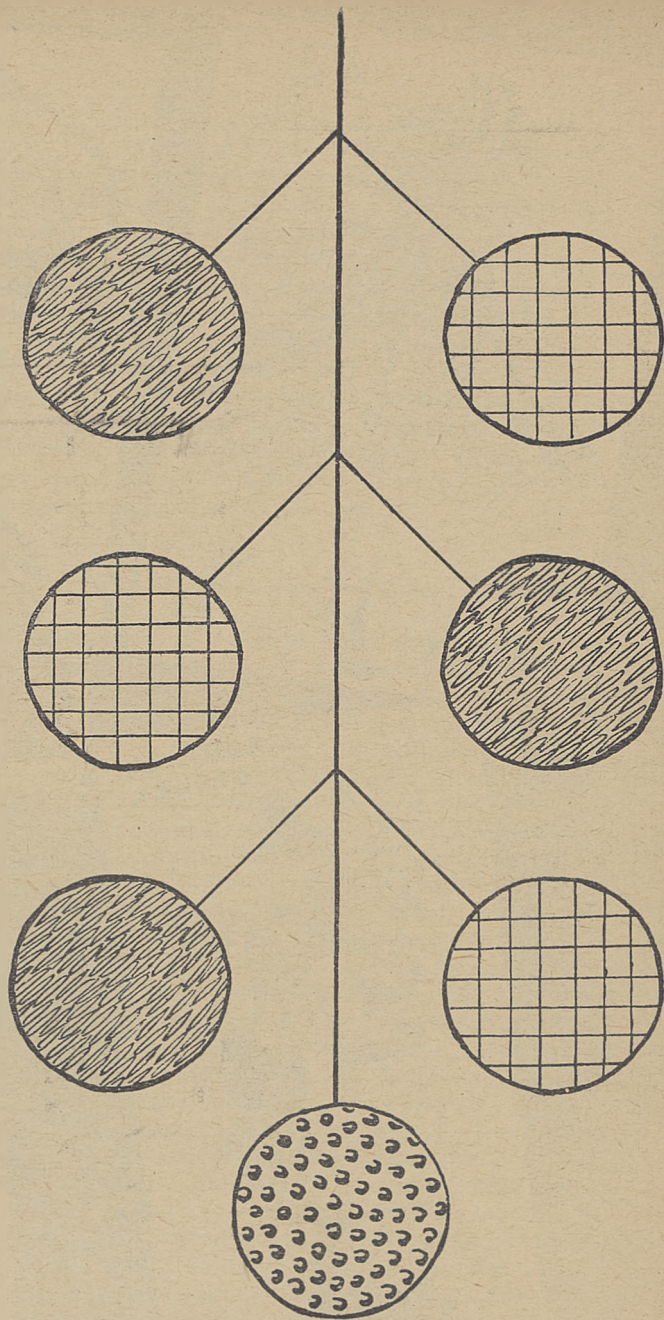
**SERWETKA  
Z KOLORO-  
WEGO  
PŁÓTNA**

Na prostokącie płótna kolorowego 75 x 100 cm. wyciągamy nitki jak do haftu Toledo w obu narożnikach i na obrobionej siateczce poszywamy trójkąty.

Serwetkę wykańczamy o b r ę b e m,



przyszytym liniijką ścięgu pocztowego i ozdabiamy haftem białym podług wzoru, podanego obok. Gałązkę z liśćmi haftujemy ścięgiem pocztowym, a w gałązce z kulkami wypełniamy 3 kulki ścięgiem japońskim, 3 wyciąganą mereżką, a jedną supełkami. Na str. 24-ej widzimy wzór serwetki w całości.







STRUMYK



SOKOLE-OKO



KACZOR  
KWAK



KOSZALEK  
OPALEK



SZEWIC KOPYTKO



SIEROTKA  
MARYSIA



CZERWONY  
KAPTUREK



WILK



KRÓLOVIA  
SERDUSZEK





W okresie karnawału starszych, często urząda się kostjumowe zabawy i dla dzieci. Już miesiąc naprzód, matki będą się nad wymyśleniem kostjumy, nad pomysłem, potem nad zdobyciem materiału, a nakoniec, nad wykonaniem. I najczęściej, okazuje się, że na baliku najwięcej było krakowianek i krakowiaków, pierrotów i pierrotek. Chcąc przyjść z pomocą matkom, stroskanym nad tak ważnym problemem, „jak ubrać malca”? — rzucamy garść pomysłów i rad, licząc się ze zdolnościami i kieszenią każdej mamusi.

Któż z dzieci nie zachwycało się, ba, nie wylewało łez nad Sierotką Marysią i Krasnoludkami Konopnickiej. Któż z dzieci nie zagłębiało się w „Bardzo dziwnych bajkach” pana Kornela? Więc sierotka Marysia i jej przyjaciel, krasnoludek Koszałek-Opatek Kronikarz. *Sierotka Marysia*, ubrana za pasterkę w białej koszulce z bufiastymi rękawami, w gorseciku kolorowym. Na spódniczce wyklejone białe gąski. Z pod spódniczki wygląda druga spódniczka biała. W rękę gałązka. Chusteczka, skrzyżowana na piersi lub zawiązana w supeł. Na głowie wianuszek z kwiatków.

*Koszałek Opatek* w sukmance z pasem koło szyi. Kaptur-kołnierz. U paska wisi kałamarz. Czapka kolorowa, wysoka, jak na rysunku. Okulary duże. Za uchem duże gęsie pióro z tektury, malowane.

Bajka o szewcu Kopytko i kaczorze kwaku Makuszyńskiego daje nam dwie postacie śmieszne: szewczyka i kaczora.

*Szewczyk Kopytko* ma duże ucho, w którym chowa różne narzędzia, nici i kamyczki do katapulty. Ma fartuch szewski i parę butów, przewieszonych przez ramię (z tektury). Łatki kolorowe naszyte na ubraniu. Ucho, wycięte z tektury na gumce, przymocowane do głowy.

*Kaczor Kwak* cały zrobiony z tektury i oklejony bibułkami ciętymi. Na ogonku ma zakręcone piórko. Dziób i łapy muszą być w kolorze żółtym, jak u kaczek.

Następnie podajemy tu kostjum *Strumyczka*, bardzo efektowny. Od szyi opadają całe pęki ciętego tofianu w kolorze zielonym i niebieskim. Mieni się to, jak strugi wody. Tak samo cięty tofian przyczepiamy na tasienki od ramion do dłoni. Na głowie opaska srebrna z dwoma wyklejonemi rybkami. Między tofianowe paski wplątamy rybki z tekturki oklejone i podmalowane. Dziewczynka, mają-

ca ten kostjum, może mieć jeszcze w rękę złotą siatkę z rybkami.

*Królowna serduszek*. Bardzo efektowny kostjum z bibuły w kolorze czerwonym, białym, złotym i czarnym. Na czarnym staniczku z materiału nakładamy pancerz z czerwonych serc, wiązany pod pachami. Buty z białej bibuły w złote paski. Spódniczka czerwona z białymi bufami, też w złote paski. Na głowie stroik z serduszkami czerwonymi. W rękę wachlarzyk. *Indianin Sokole Oko*, ulubiona postać chłopców.

Na głowie strój z kolorowych piór (karton nacinany, jak pióra). Do spodni, od pyjamy przyszyte kolorowe, nacinane paski, u rękaw-

wów tak samo. Pas, za pasem tomahawk i kołczan ze strzałami. W rękę dzida lub łuk.

*Czerwony kapturek* w staroświeckim kostjumie z majteczkami z falban bibułkowych.

W rękę koszyczek dla babci.

*Wilk* w serdaczku nawywrot lub na staniczek naszyte szare bibułki cięte, jak futerko. Ogon puszysty z ciętej bibuły. Na głowie łeb, wyklejony z tektury i pomalowany pod kolor bibuły lub futra.

Przy tytule widzimy małego Napoleona, cwałującego na koniku. Możemy taki kostjum uszyć małemu chłopczykowi i właśnie posadzić go na takiego konika na kiju. Głowę konia możemy zrobić z tektury. *Ewa.*

## Odżywianie niemowląt w pierwszym roku życia

### II.

W artykule poprzednim omówione zostało odżywianie dzieci karmionych piersią do VI miesiąca życia. Gdy dziecko kończy 6 miesięcy, zmieniamy sposób odżywiania. Należy je stopniowo odzwyczajając od pokarmu kobiecego, tak ażeby około jedenastego miesiąca móc dziecko odstawić od piersi. Przytem pojemność żołądka dziecka w drugim półroczu i jego zdolności trawienne wydatnie się powiększyły, może ono znieść dłuższe przerwy w podawaniu pokarmów, zarówno jak i dłuższą przerwę nocną. Pozwoli to również matce wygodniej ułożyć swój dzień. Począwszy od II półrocza dajemy dziecku tylko 5 razy dziennie jeść, a nie jak dotychczas 6, w tem 4 razy dziennie pokarm kobiecy i jeden raz „obiad”. Poszczególne porcje jedzenia są oczywiście większe. Pierwszy obiad niemowlęcia składa się z zupki jarzynowej, czyli kaszki zasypanej na „smaku”, wygotowanym z jarzyn z dodatkiem masła i cukru. Spoczątku jarzyny wygotowane odcedzamy, ale szybko przechodzimy do podawania tychże wygotowanych i przetartych jarzyn narazie w zupce w postaci płynnej. Po paru tygodniach podajemy dziecku oddzielnie wygotowaną na gęsto i przetartą jarzynę (wody nie odlewać, a gotować w małej ilości wody). A więc 7-mio miesięczne dziecko otrzymuje obiad z dwóch dań: zupy i jarzyny. Nie zawsze ta zmiana w odżywianiu przyjdzie nam łatwo. Są dzieci, którym to bardzo smakuje, zmiesca nabierają chęci do obcego im dotychczas smaku. Niekiedy jednak zdarza się, że małeństwo buntuje się i uparcie odmawia przyjmowania zupki i jarzynek. Nie należy sądzić, że dzieci mają niedostatecznie wyrobiony zmysł smaku. Aczkolwiek dotychczas zakosztowały tylko smaku mleka kobiecego i soków, to jednak odróżniają b. dobrze każdą zmianę w podawaniu im jedzenia i może się okazać, że właśnie smak jarzyn im nie odpowiada. Nie ustępujemy jednak! Jeśli zaczniemy ustępować, to ani się obejrzymy, jak

nam z naszego słodkiego maleństwa wyrośnie tyran domowy, który nie znośi buraczków, pluje na widok szpinaku, ucieka od stołu, gdy podają krupnik. Z jarzyn nie wolno nam rezygnować. Są wypadki jednak, kiedy pomimo naszej wytrwałości, nie uda nam się dziecka do nowych potraw przekonać. Wtedy należy kolejno eliminować z używanych do zupki jarzyn niektóre z nich, np. usunięcie pietruszki lub selerów zupełnie zmieni smak i dalej wszystkie pójdzie gładko.

Stopniowo co kilka tygodni zabieramy dziecku jedno karmienie piersią, zamieniając je mieszanką, składającą się z dwóch części mleka krowiego i jednej części kleju owsianego z dodatkiem cukru; zamiast kleju można rozcieńczać mleko wodą przegotowaną i dodawać dla zagęszczenia mieszanek mączki Nestle'a, tartej bułki, lub zasmażki z mąki i masła. Ten ostatni dodatek bardzo podnosi smak mieszanek. Potem dajemy jedno danie, składające się z kaszki na pełnym mleku lub na wodzie z masłem.

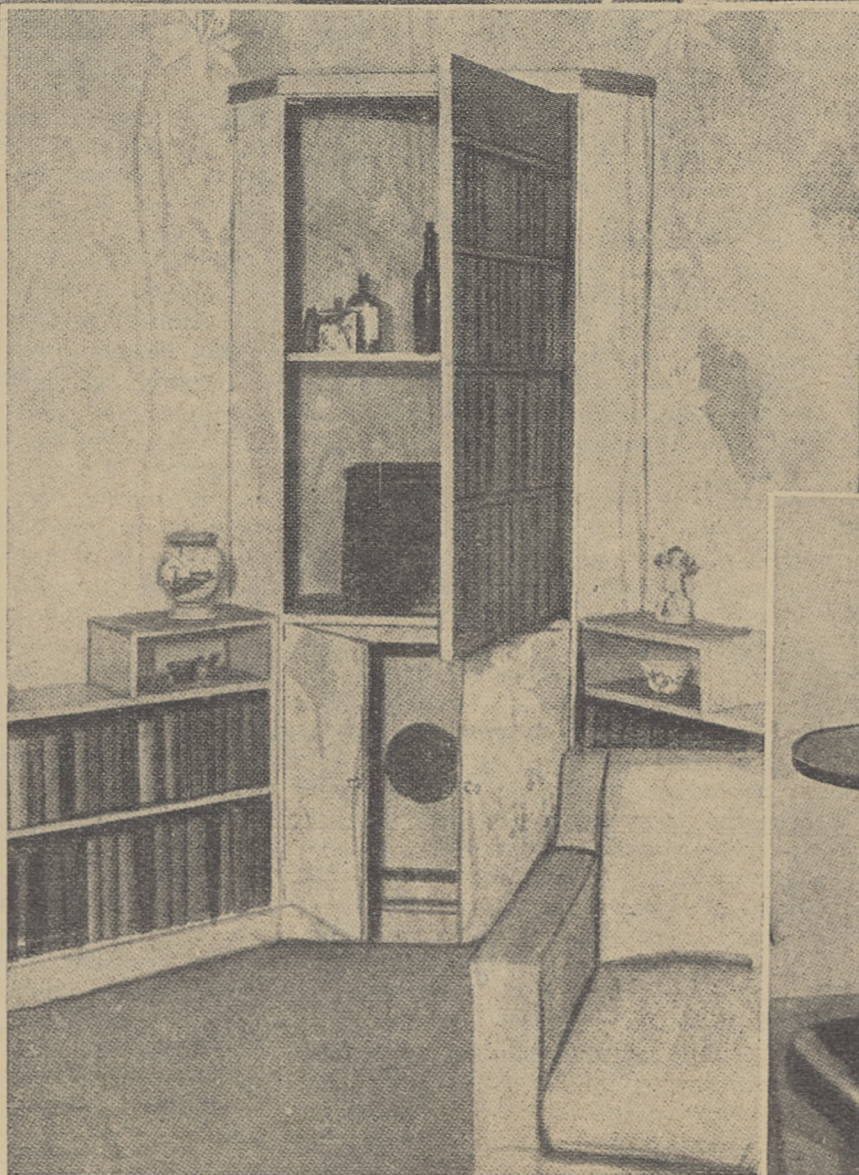
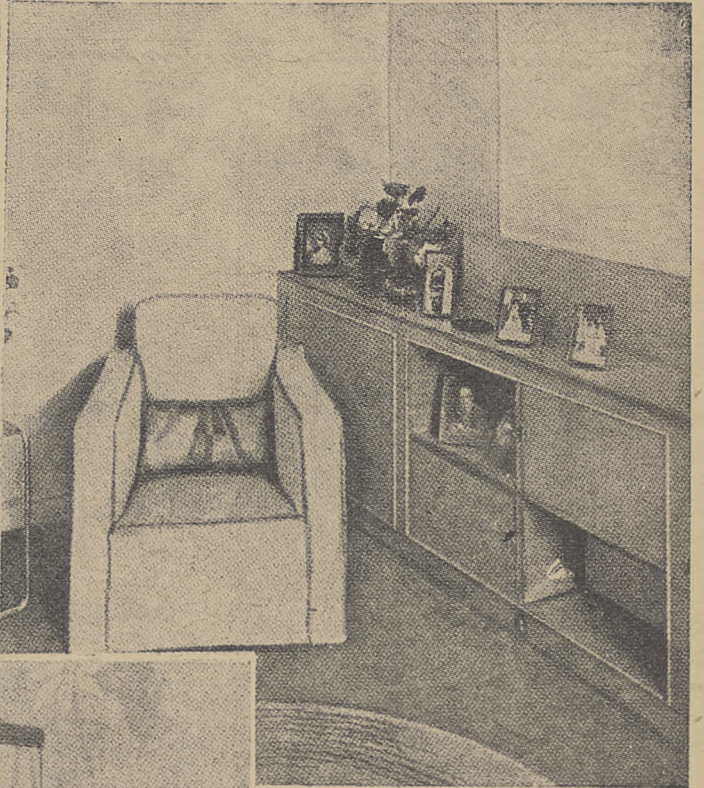
Przybliżając się więc do momentu całkowitego odstawienia od piersi dziecko otrzymuje 1 raz pierś, 2 razy mieszanek, 1 raz zupę i jarzynę i piąty raz kaszkę. Stopniowo zaczynamy zamiast rozcieńczonego mleka krowiego podawać pełne mleko. Soki surowe podajemy oczywiście bez przerwy.

Unikamy całkowitego odstawienia od piersi w miesiącach upalnych, lub gdy dziecko miedomaga.

Tak ułożona djeta jest pełnowartościowa pod względem kalorycznym, jak również pokrywa zapotrzebowanie dziecka na sole mineralne. Wiemy, że jarzyny zawierają duży odsetek soli wapniowych, potasowych, żelazowych i t. d. Pokarm kobiecy jako jedyne pożywienie dla starszego niemowlęcia, nie jest już wystarczający, to też dzieci trzymane zbyt długo na wyłącznym pokarmie kobiecym rozwijają się gorzej, są bledsze, mięśnie ich są wiotkie, kościec gorzej rozwinięty. Nie należy przesuwać mieszane go odżywiania poza 6 miesiąc życia dziecka. *Dr. F. K.*



# Półki do książek



Szafa biblioteczna jest rzadkością w dzisiejszych małych mieszkaniach, po prostu niema na nią miejsca. Za to niejeden kącik możemy wykorzystać na ładną i praktyczną półkę na książki. Głęboka zaledwie na szerokość tomu, zajmie niewiele miejsca, a da bezpieczny schron naszym książkom. Półkę taką można zrobić nawet ze zwykłej sosny, politurowanej, lub bejcowanej na ko-

lor odpowiedni do umeblowania pokoju, a formę jej i wielkość dostosować ściśle do przeznaczonego na nią miejsca, jak to wskazują podane fotografie.





Jest nim, oczywiście, jaknajdalej idąca, rozumna i dobrze obmyślana oszczędność. Mogą ją systematycznie zaprowadzić i stale przeprowadzać kobiety w królestwach swoich, — domach swoich.

Mówi się o niej, pisze, demonstruje różne sposoby jej stosowania, — cprawda, dotąd przedewszystkiem w dziedzinie kulinarnej. Związek Pań Domu, jedyna organizacja czysto gospodarcza, najbardziej jest wskazany do szerzenia akcji oszczędnościowej, gdyż może wszędzie trafiać i wszędzie cieszyć się jednokowym zaufaniem.

Więc też uczy przedewszystkiem kobiety niezamodne, na peryferjach miasta, jak racjonalnie gospodarować, jak tanio, a smacznie żywić rodzinę, jak utrzymywać w porządku sprzęty, ubranie, jak czyścić, prać, łątać, szewrować, uczy na pogadankach, na pokazach, na kursach.

Dla kobiet z inteligencji, oprócz kursów gospodarstwa, na których obok gotowania bardzo oszczędnego, jest i sprzątanie i pranie i prasowanie, są cotygodniowe pokazy racjonalnego gotowania, sprzątania, prania, czyszczenia płam, prasowania, utrzymywania w porządku naczyń i sprzętów.

Z tych, cieszących się olbrzymim powodzeniem pokazów, raz tylko w miesiącu będą poświęcone normalnemu gotowaniu, dwa inne będą uczyły dań, najściślej oszczędnościowych. Ba — nawet wielki pokaz ryb, zorganizowany przez Związek Organizacji Rybackich Rzeczypospolitej Polskiej, był urządzony pod hasłem spożycia najdrobniejszych, a co zatem idzie, najtańszych rybek. Instruktor i kuchmistrz wykonywali przytem istne cuda, różne majonezy, ryby faszerowane, kulebiaki ect.

Masa kobiet czekała z wielkiem zainteresowaniem na grudniowy wieczór dyskusyjny Z. P. D., na którym, przewodnicząca Zarządu Głównego, p. Mandukowa i wiceprzewodnicząca Oddziału Warszawskiego Z.P.D. miały przemawiać o oszczędności w naszych gospodarstwach domowych.

Na wysokim poziomie utrzymany referat p. Mandukowej wyliczał to, co już w kierunku potaniania życia zostało zrobione — (cukier, węgiel, chleb), podkreślając zupełną niedostateczność tych posunięć i zawierał życzenia dalszych kroków — potaniania kasz, mąki, mięsa i jego przerobów, a głównie soli i zapalek, jako przedmiotów pierwszej potrzeby dla najuboższych nawet.

Pani Chmieleńska zajęła się kwestją praktycznego stosowania metod oszczędnościowych, w działach spożywczych, ubraniowym, porządkowym, rozrywkowym, opałowym, pomocy domowej i t. p.

Ta kwestja pomocy domowej jest, bodaj, najbardziej palącą ze wszystkich przez te obopanie poruszanych.

Pierwsza polecała głównie obniżenie płac naszym pomocnikom, — druga obywanie się bez nich. Obniżenie płac służby byłoby, zupełnie usprawiedliwionem wobec zmniejszenia poborów i zarobków ich chlebobawców. Nie-

stety, każdy znający nasze stosunki, wiedzieć musi, że tego rodzaju reforma może być bądź przeprowadzona ustawowo — na co liczyć nie możemy, bądź będzie wymagała długiego czasu, zanim powoli, przy każdorazowej zmianie służby, do niżki jej poborów dojdziemy. Wszelkie próby zmniejszenia pensji służącej na posadzie trafiają na opór, idący nawet do natychmiastowego porzucenia najlepszej posady. Widziałam tego rażące przykłady. Służąca, na jednej posadzie od lat ośmiu, pobierająca bajeczną obecnie sumę 70 zł. miesięcznie, na propozycję zmniejszenia płacy do 50 zł., porzuciła miejsce. Oczywiście, po kilku tygodniach płaćnego mieszkania u znajomej dozorczyni, dostała inną posadę — za 40 złotych. Setki i tysiące takich eksperymentów, oczywiście, doprowadzą do ogólnego obniżenia poborów służby domowej, ale co będzie przytem kłopotów, łez, tragedji, niechęci i narzekania.

Kategoryczna ustawa oszczędziłaby nam i im tego wszystkiego.

Jeżeli chodzi o zupełne wyrzeczenie się pomocnic domowych, mogą sobie na to pozwolić panie zdrowe, silne, doskonale znające się na gospodarstwie i — mające mieszkanie w nowych, racjonalnie zbudowanych domach. Z czasem, kiedy wszystkie nasze domy zostaną przebudowane na sposób zachodnio-europejski i my, wzorem zachodnich europejek będziemy mogły obchodzić się zupełnie lub prawie, bez pomocy obcej.

Odeszłam trochę od tematu zasadniczego mojej pogawędki, od oszczędności, jako najpoważniejszego zagadnienia chwili obecnej.

Nasze oczekiwania niżki cen najważniejszych artykułów gospodarczych sprawdziły się. Potaniał, wprawdzie nieco węgiel i nieznacznie nafta, której w większych miastach się nie używa. Potaniał cukier i nieznacznie chleb, ale nie potaniały ani mięso, ani tłuszcz, ani ryby, ani kasze, ani herbaty, ani inne większe artykuły kolonialne. Cena soli, tej najniezbędniejszej przyprawy, spadła zaledwie o parę groszy i sól w dalszym ciągu jest nieosiągalnym przedmiotem zbytku dla wsi kresowej. Takim samym przedmiotem zbytku dla tej wsi są zapalki, przyczem łupanie ich na połowki i na ćwiartki jest karane doraźnym mandatem karnym, o ile takie przestępstwo zostanie wykryte przez władze. Wracają tam ludzie (do również zabronionych) hubek i krzesiw, lub do przenoszenia co rano, z chaty do chaty węgielków, starannie przechowanych pod popiołem.

Zanim nas bieda nauczy stosowania drobniogowych oszczędności, możemy zaraz wprowadzić kilka, dobrze znanych gospodyniom wszelkich czasów.

Więc, przedewszystkiem wszystko, co się da, kupować w hurtowniach i od razu na zapas nie tylko miesięczny, lecz nawet kwartalny, a niektóre rzeczy, jak naprzykład mydło, na całoroczny. A więc węgiel — na całą zimę, kartofle i buraki — do nowych (inne jarzyny, o ile w naszych piwnicach zimują. Mydło do prania, dobrze wysuszone, jest ekonomiczniejsze w u-

życiu i całoroczny zapas nawet dla dużej rodziny zmieści się na brzegu szafy lub pieca. Mąka lub cukier, kupione całym workiem, są znacznie tańsze — można je nabyć do spółki i podzielić z kilku osobami. Wszelkie kasze, konserwy, grzyby, suche wędliny, przyprawy korzenie, kupione w hurcie, są nie tylko tańsze, ale oszczędniejsze, bo odpada waga torebek, pudełek, papierów i innych opakowań, tak obficie stosowanych w naszym handlu.

Zapasy marmelad, jam'ów, powideł, kompotów w konserwatorach i zwykłych butelkach, zrobione w sezonie tanich owoców, ogromnie obniżają koszt posiłków zimowych.

Każda gospodyni w miarę sił i możliwości wszelkie zakupy nie tylko kuchenne, lecz i ogólnogospodarcze powinna robić sama, jaknajmniej polegając na chociaż najbardziej uczciwych, lecz najemnych siłach swoich pomocnic.

Nie wchodząc na razie w drobiazgi, do których pozwolę sobie wrócić, już przy stosowaniu tych ogólnych zasad, przy końcu każdego miesiąca osiągniemy poważne oszczędności w prowadzeniu domu. Wykaże nam te oszczędności dokładnie prowadzona rachunkowość.

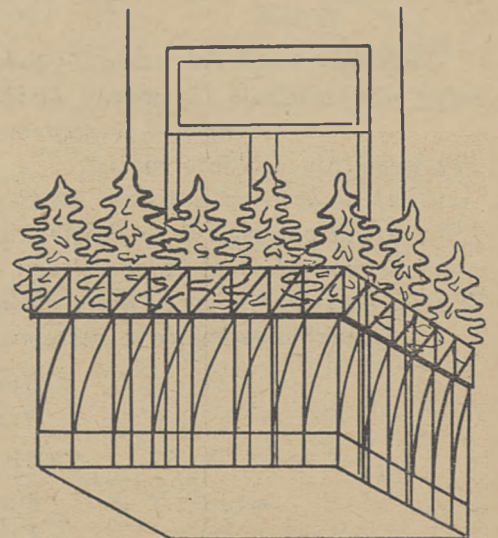
Pani Elżbieta.

## Balkony w zimie

Każdy warszawiak będąc na Pomorzu musiał zwrócić uwagę na balkony w najmniejszych nawet miasteczkach, tonące w powodzi kwiatów. I zapewne ze smutkiem wzdychał, że u nas, w Warszawie większość balkonów pozbawiona jest najprymitywniejszych nawet kwiatów.

Głoszone na wiosnę hasło „Warszawa w kwiatach” również zawiodło! Chociaż widać było pewien wysiłek ku lepszemu, niemniej jednak większość balkonów w dalszym ciągu świeciła pustkami.

Teraz w zimie jest jeszcze gorzej! Nieliczne tylko balkony są utrzymane w czystości; większość uważana jest za rodzaj strychu, gdzie składa się chwilowo niepotrzebne rzeczy, doniczki z resztkami zeschniętych badyli, skrzynki po kwiatkach, garnki i tym podobne rupiecie.



Balkon ozdobiony małymi świerczkami.



Mimo mrozu wyglądamy przecież przez okno, czy balkon na ulicę, obserwując przechodniów, padające płatki śniegu, badając stan pogody i t. p. Czyż więc nie byłoby przyjemniej, aby balkony były uporządkowane i miały bardziej estetyczny wygląd?

A możnaby je nawet ozdobić! Chociaż zimotrwałe kwiaty w doniczkach umieszczone na balkonie wymarzają, to jednak przy dobrych chęciach i odrobinie pomysłowości znajdzie się materiał odpowiedni.

W pierwszym rzędzie do tego celu nadają się krzewy iglaste.

Ciemną ich zielenią ładnie rozweselają ceglaste lampiony Physalis, zwanej pospolicie żydowską wiśnią. Najładniej wyglądają małe świerczki w doniczkach, ustawione, lub przymocowane dookoła balkonu, u góry. Dla patrzącego z wewnątrz mieszkania zieloność

ich jest miłą niespodzianką, sprawia wrażenie małego ogródka, a dla przechodniów jest barwną rozrywką dla oczu wśród monotonnej szarości kamienic.

Inż. J. W.

## S Ó L

Sól ma w gospodarstwie domowym rozległe zastosowanie. Poza swoim „posłannictwem smaku” oddaje nam jeszcze cały szereg usług praktycznych.

Sól dodana w niewielkiej ilości do mąki przesmażanej z masłem przy przyrządzaniu sosu przeciwdziała tworzeniu się nieszczęsnych „klusek”, przyczyniających nieraz tyle kłopotu początkującym gospodyniom.

Solą pokrywamy dno „chytliwej” patelni,

Stawiamy ją na ogniu i rozgrzewamy silnie. Po usunięciu soli i wytarciu ochłodzonej patelni suchą ścierką używamy jej do smażenia bez obawy o przywieranie potraw. Zabieg ten jest szczególnie wskazany przy smażeniu naleśników.

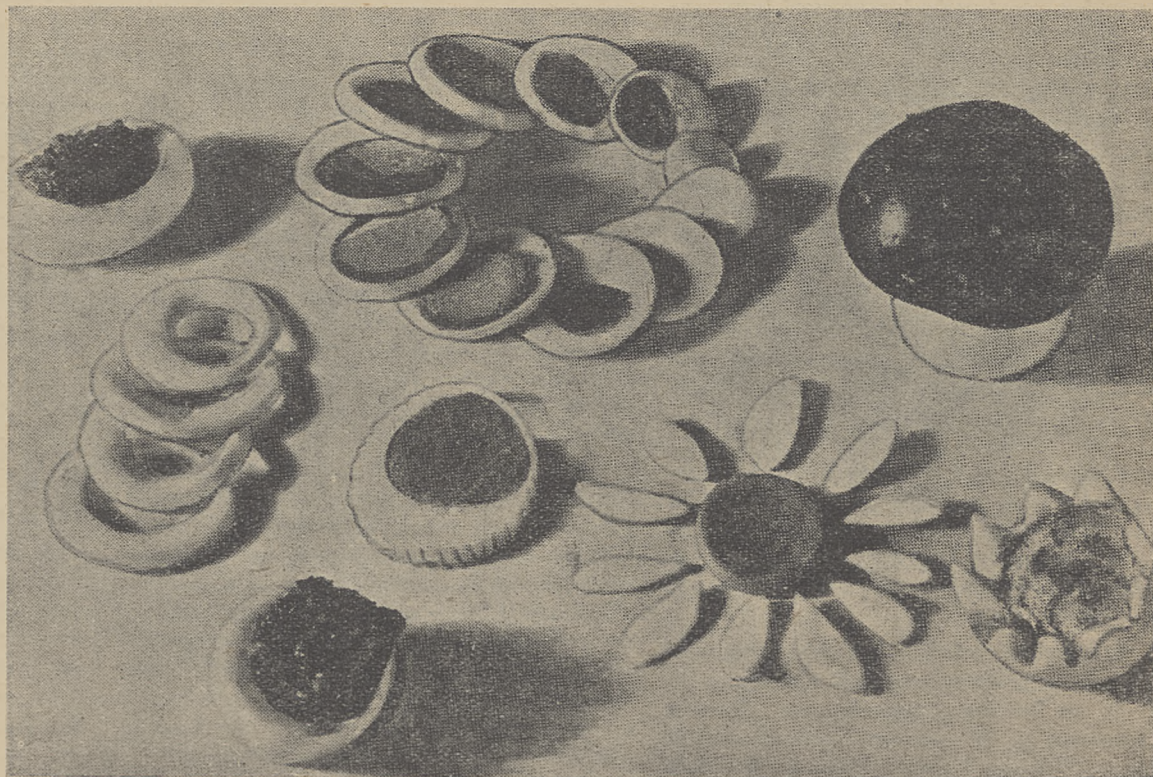
Szczypta soli dodana do białek w chwili ubijania ich trzepaczką daje zwartą, twardą niełatwo wodniejącą pianę.

Solą wycieramy silnie łyżeczkę metalową przed użyciem jej do ozdobnego uformowania masła w masielnicze — masło do łyżeczki nie przylega.

Sól wysypana na blachę, na której wypieka się jakies „obce ciało”, czy płyn kipiący z rondla, wchłania przykry odór, przeciwdziałając w ten sposób typowym, zadrażniającym błony śluzowe, swędrom kuchennym.

## JAJKA NA TWARDO

Jajka na twardo, to bogaty materiał dekoracyjny, jeżeli kto umie go wykorzystać. Wszystkie podane tutaj „wzory dekoracyjne” są łatwe do naśladowania — jedynie grzybek wymaga objaśnień przystosowanych do sezonu. W zimie robimy kapesik z dużego grzyba marynowanego osadzonego na twardym jajku — w sezonie świeżych jarzyn z przepołowionego pomidora, z którego trzeba usunąć łyżeczką miąższ. Podobieństwo do muchomor nadajemy, robiąc centki z gęstego sosu majonezowego.



Redakcja i Administracja Tygodnika Kobiety prosi Panie Prenumeratorki o regularne wpłacanie prenumerat. Zaległości naruszają równowagę budżetu, utrudniają pracę, wstrzymują rozwój pisma, które pragniemy postawić zarówno pod względem treści, jak i wyglądu zewnętrznego na najwyższym poziomie.

Prenumeraty wpłacać można:

- w każdym urzędzie pocztowym, wypełniając niebieski przekaz rozrachunkowy (koszt przekazu 1 grosz);
  - na poczcie lub w P.K.O. na konto Tygodnika Kobiety Nr. 13191, wypełniając blankiet P.K.O.;
- bezpośrednio w Administracji — Warszawa, ul. Okólnik 11a.

W imię najżywoźniejszego hasła chwili, konieczności oszczędzania, zwracamy uwagę wszystkich Pań Czytelniczek na korzyści wynikające z prenumerowania, a nie nabywania poszczególnych numerów Tygodnika Kobiety!

Numer w sprzedaży kosztuje 50 gr.  
Numer w prenumeracie wynosi niecałe 40 gr.

### CENY PRENUMERATY:

Miesięcznie Zł. 1.75  
Kwartalnie Zł. 5.00  
Rocznie Zł. 20.00



*Niedziela.*

Zupa pomidorowa w filiżankach — grzanecki.  
Ziuziki cielęce po nelsonsku — sałata z kiszzonej kapusty.  
Pączki parzone (ptysie) z sokiem.

*Poniedziałek.*

Barszcz żytni zabieleny — kartofle tłuczone ze słoniną.  
Makaron z szynką wypiekany z rondla.  
Ogórki kiszzone.  
Kompot z suszonych śliwek.

*Wtorek.*

Zupa purée z fasoli na smaku z jarzyn.  
Cebulki faszerowane — kartofle przysmażane.  
Naleśniki z serem.

*Środa.*

Rosół cielęcy z lanami kluseczkami  
Krokiety z gotowanej cielęciny — marchewka.  
Racuszki.

*Czwartek.*

Zacierka na wodzie ze słoniną.  
Nóżki w potrawce — ostry sos rumiany — purée z kartofli.  
Mus z jabłek na gorąco.

*Piątek.*

Zupa grzybowa czysta z kaszką krakowską w kostkę.  
Pierozki z kapustą i grzybami, krąszone masłem z cebulką.  
Kisiel czekoladowy, albo żorawinowy.

*Sobota.*

Kapuśniak ze słodkiej kapusty — żółty groch ze słoniną.  
Kiszka kaszana z kartoflami tłuczonymi.  
Grzanki z sokiem, albo marmeladą.

**NÓŻKI CIELEŃCE W POTRAWCE.**

Gotować nóżki cielęce z dodatkami woszczyny i korzeni tak długo, dopóki mięso nie odstanie od kości. Wyjąć z rosółu, osączyć, a po wystudzeniu odłączyć od kości, pokrajać w drobną kostkę.

Przygotować rumiany sos ostry korniszonowy, albo ogórkowy w sposób następujący:

Łyzkę masła sklarować, dodać łyżkę czubatą mąki pszennej, raz zasmażyć, nie rumieniąc. Rozprowadzić wodą, zagotować, mieszając bezustannie. Dodać 2 kostki buljonu, zakolorować karmelem (cukier palony), doprawić do smaku solą, cukrem, włożyć drobno pokrajane korniszony, albo ogórek z konserwy. W razie potrzeby, dokwaśnić sokiem cytrynowym. Raz zagotować, włożyć nóżki, podgrzać na chwilę przed wydaniem na stół.

**GALARETKA Z NÓZEK CIELEŃCZYCH.**

Gotując nóżki cielęce na potrawę, dobrze jest zrobić równocześnie galaretkę, co pozwoli nam zużytkować smak, nie znajdujący w kuchni innego zastosowania. Na galaretkę przeznaczymy 2 nóżki cielęce i jedną wieprzową, gotując je razem z nóżkami, przeznaczone mi na potrawkę.

Nóżek nie soli się w gotowaniu, bo tracą kolor. Gotuje się je na wolnym ogniu, z dodatkiem wło-

szczyzny i korzeni (liściek bobkowy, pieprz i ziele angielskie). Po wyjęciu nóżek z rosółu, należy go przecedzić przez bardzo gęste sito, zlać do czystego rondla i sklarować, wlewając do przestudzonego i osolonego do smaku płynu 2 surowe białka, rozbite z zimną wodą. Gotować na wolnym ogniu, dopóki białka nie sklarują smaku, to znaczy nie spłyną na wierzch, ścięte całkowicie. Zebrać szumowinę łyżką durszlakową, smak przecedzić. Nóżki pokrajać w drobną kostkę, posolić, ułożyć na salaterce, albo w formie, zalać smakiem. Studzić, mieszając od czasu do czasu, aby nóżki nie opadły na dno formy. Podawać z octem, oliwą, albo sosem tatarskim.

**PIEROŻKI Z KAPUSTĄ I GRZYBAMI.**

Grzybki suszone z zupy posiekać drobno, przesmażyć z masłem i siekaną cebulką. Dowolną ilość kapusty z główki poszatkować bardzo drobno, gotować na obfitej wodzie, bez przykrycia, 5 minut, odcedzić, osączyć. Przesmażyć sporo siekanej cebuli z masłem, włożyć kapustę, osolić, smażyć na dosyć ostrym ogniu do czystego masła. Dodać grzybki, wsypać odrobinę białego pieprzu mielonego. Farszem tym nakładać pierozki. Wydać na stół, okraszone masłem z cebulką.

**CIASTO NA PIEROŻKI.**

½ kg. mąki pszennej, 2 jajka, łyżeczka masła surowego, sól, tyle letniej wody, aby ciasto dało się wałkować, jednak nie było zbyt twarde. Osiać mąkę na stolnicę, zrobić pośrodku zagłębienie, wbić jajka, wyrabiać nożem mąkę z jajami. Dodać masło i dolewać stopniowo letnią wodę, wyrabiając ciasto rękami. Zagniatą 10 minut, poczem uformować w kulę, przykryć wygraną miską, pozostawić tak na pół godziny. Wałkować ciasto na stolnicy, posypanej cienką warstwą mąki, wycinać foremką blaszaną spore krążki, kłaść pośrodku trochę farszu, składać ciasto na pół i mocno zalepiać palcami, formując równocześnie brzeży pierożków w karby. Do pozostałego ciasta dosypać mąki, wygnieść, rozwałkować niezbyt cienko, zrobić krajane kluseczki i podać je, razem z pierożkami.

**KOTLECICKI CIELEŃCE, PRZEKŁADANE PASZTETEM.**

Kotleciki takie są wykwiutnem i doskonałym daniem. Robi się je z kotleta cielęcego, zdejmując mięso z kości, kraje na cienkie plasterki, licząc dwa plasterki na jeden kotlet. Tak przygotowane kotleciki, rozpląszcza się nożem, nadając im jednakowy kształt, poczem rozsmarowuje się na mięsie warstwę pasztetu i przykrywa drugim kawałkiem mięsa. Na chwilę przed smażeniem, trzeba posolić lekko z obydwóch stron, oprószyć mąką pszenną, umaczać w rozbitym jajku i skrażyć w tartej bułeczce. Smażyć na obfitem masle na jasno-żółty kolor. Podawać wprost z patelni — oddzielnie ostry sos rumiany z kaparami, grzybkami, albo rydzami marynowanymi.

**RISOTTO Z CIELEŃCINĄ I GROSZKIEM ZIEŁONYM.**

½ kg. ryżu, 10 dk. masła, 1 cebula cukrowa, 3 kostki buljonu, cielęcina gotowana, groszek zielony z puszkii. Ryż wypłókać kilkakrotnie w zimnej wodzie, osączyć. Zagotować raz w obfitej wodzie, wylać na durszlak, przelać zimną wodą, znów osączyć. Posiekać drobno cebulę, podusić ją w masle, włożyć w masło osączony ryż, wymieszać, zasmażyć potrzásając rondlem, poczem podlać rozpuszczonym w wodzie buljonem, dając go tyle, aby zaledwie pokrył ryż. Przykryć, wstawić do pieca na górną kondygnację trzymać w piecu godzinę, nie mieszając. Gdyby ryż wchłonił całkowicie buljon, a był jeszcze twardy trzeba wlać parę łyżek rosółu, albo po prostu wody, ale nie mieszać.

Wysmarować rynkę ogniotrwałą masłem, dać na dno warstwę syckiego ryżu, na niej położyć warstwę drobno pokrajanej cielęciny z rosółu, przykryć ryżem, dać warstwę osączonego z sosu groszku zielonego z puszkii, przykryć ryżem. Skropić powierzchnię masłem, posypać tartym serem szwajcarskim, wypiec na rumiano. Oddzielnie podać sos pomidorowy, albo pieczarkowy.

*Karp zapiekany w śmietanie (au gratin).* Oczyszczyć karpia, nasolić, niech tak leży godzinę. Ugotować smak na włoszczyźnie, cebuli z dodatkiem korzeni. Przesmażyć. Włożyć rybę do chłodnego smaku, podgrzewać na wolnym ogniu i również na wolnym ogniu gotować pół godziny do ¾ godziny, zależnie od wielkości ryb. Ugotowanego karpia wyjąć ze smaku, osączyć, zdjąć mięso z ości, podzielić na spore kawałki. Przygotować gęsty sos beszamelowy. Ogniotrwały podłużny półmisek wysmarować masłem, ułożyć na nim połowę ryby, polać beszamelem, przykryć resztą ryby, zalać powierzchnię resztą sosu, oprószyć bułeczką tartą, tartym serem szwajcarskim, skropić obficie masłem, zapiec w piecu na złoty kolor.

*Sos beszamelowy do karpia.* Czubatą łyżkę masła roztopić, wsypać czubatą łyżkę najpiękniejszej mąki pszennej, raz zagotować. Rozprowadzić kilkoma łyżkami rosółu z ryby i szklanką wyborowej ostepi, młodej kwaśnej śmietany. Zagotować mieszając. Do gotowego sosu wsypać czubatą łyżkę tartego sera szwajcarskiego, doprawić do smaku bulionem, sokiem cytrynowym, solą, znów zagotować. Zdjąć z ognia, dodać 3 surowe żółtka rozkłócone z łyżką śmietany i łyżeczka mąki pszennej, wymieszać, ale już nie gotować.

*Szarlotka w kruszku cięście.* 1 kg. jabłek winkowatych, 10 dk rodzyneków sultanek, trochę skórki pomarańczowej osmażanej w cukrze, wanilja.

Na ciasto: 25 dk mąki pszennej najprzędniejszej, 15 dk masła, 6 dk cukru pudru, jajko do posmarowania.

Jabłka obrać, wydrążyć środki, pokrajać na talarki. Udusić w

*Niedziela.*

Barszcz z uszkami.  
Rozbief po angielsku — kartofelki przysmażane, chrzan skrobany — sałata.  
Croszek z marchewką, garnirowany kruchemi półkiszęciami.  
Sałatka z jabłek i pomarańcz.

*Poniedziałek.*

Zupa pomidorowa ze śmietaną i ryżem.  
Cynaderki cielęce pieczone — kapusta czerwona na gorąco.  
Bulwy z masłem.  
Galaretki owocowa.

*Wtorek.*

Zupa purée z kartofli — grzanecki.  
Kotleciki cielęce przekładane pasztetem—sos rumiany kaparowy—kaszka krakowska na sypko.  
Sałata z włoskiej kapusty.  
Biszkopt z konfiturami.

*Środa.*

Rosół cielęcy z kluskami francuskimi.  
Risotto z cielęcina z rosółu i groszkiem zielonym.  
Sałata.  
Szarlotka w kruszku cięście.

*Czwartek.*

Zupa ogórkowa czysta — rosolnik.  
Makaron włoski z pieczarkami, zapiekany na muszelkach.  
Zając z buraczkami.  
Owoce.

*Piątek.*

Zupa grzybowa czysta z łazankami.  
Selery z rumianym sosie, garnirowane grzankami.  
Karp, zapiekany w śmietanie — kartofle z wody.  
Ciastka kruche domowe z konfiturami.

*Sobota.*

Grochówka na boczku wędzonym z grzaneckami.  
Befsztiki wołowe siekane — purée z kartofli — sałata z czerwonej kapusty.  
Bucht drożdżowy z konfiturami.

piecyku na marmoladę (najlepiej w kamiennym garnuszku). Po wyjęciu z pieca dodać rodzyunki umyte i osączone, trochę drobno pokrajanej skórki pomarańczowej, wymieszać. Wyłożyć przestudzoną marmoladę do płaskiej rynki ogniotrwałej, albo na półmisek blaszany.

Zagnieść kruche ciasto z powyżej wskazanej proporcji, rozwałkować na pół palca grubo, przykryć ciastem marmoladę, przybrać powierzchniu wałeczkami z ciasta, posmarować jaikiem rozkłóconem z łyżeczką zimnej wody, upiec w gorącym piecu na złoty kolor. Wydając na stół posypać powierzchniu cukrem z wanilią.

*Ciastka kruche z konfiturami.* 30 dk mąki pszennej, 15 dk masła, łyżka gęstej kwaśnej śmietany, 7 dk cukru pudru, szczypta soli.

Zagnieść ciasto, postawić w chłodzie na godzinę. Rozwałkować na pół palca grubo na stolnicy oprószonej mąką pszenną, wycinać okrągłą foremką blaszaną,



# CEROWANIE

albo dużą szklanką ciasteczka, formując z pozostałego przy wstawianiu ciasta, wałeczki. Brzegi ciastek posmarować jajkiem rozkloczonym z łyżeczką wody, otoczyć wałeczkami, które trzeba również posmarować jajkiem w chwili wstawiania ciastek do pieca. Piec ciastka w gorącym piecu na złoty kolor.

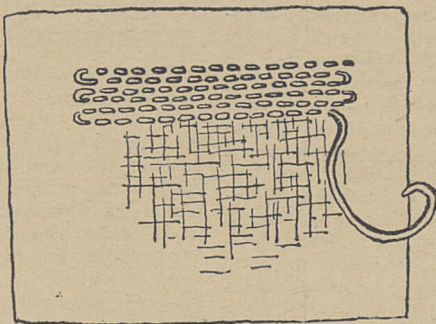
Osączyć z syropu konfitury z czarnych wisien, truskawek, albo malin. W chwili wydawania ciastek na stół napełnić je konfiturami, albo też położyć na każdym ciastku trochę bitej śmietanki i na niej dopiero konfitury.

**Bucht drożdżowy.** 2 szklanki mąki, 3 dk drożdży, kilka łyżek letniego mleka, 3 całe jaja, łyżka cukru, łyżka masła sklarowanego, szczypta soli, trochę sproszkowanej wanilii.

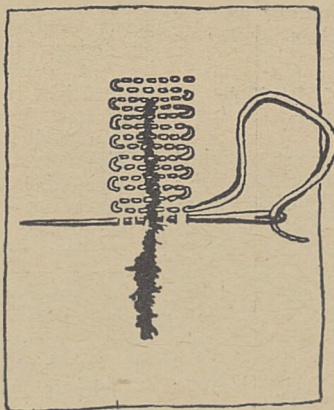
Szklanekę mąki rozczynić drożdżami rozprowadzonym letnim mlekiem, postawić w ciepłym miejscu, a gdy rozczyzn podrośnie, dodać sól, masło sklarowane, wanilię, resztę mąki i wyrabiać ciasto łyżką dęwnianą dopóki nie zacznie odstawać od miski. Do wyrobionego ciasta dodać pianę z pozostałych białek. Wymieszać. Ciasto powinno być tak gęste, aby się dało brać łyżką. Postawić w ciepłym miejscu, a gdy wyrośnie brać po kawałku ciasta rozpląszonego kłaść pośrodku trochę konfitur, albo marmelady owocowej, zalepiać brzegi i układać w rondlu wysmarowanym masłem i wyrószonym mąką pszenną. Postawić w ciepłym miejscu, a po upływie pół godziny wstawić do gorącego pieca na godzinę. Wydać na stół wyciąć z formy na okrągły różmerek, posypać cukrem z wanilią. Oddzielnie podać w sosierce masło sklarowane, albo młodą kwaśną śmietaną.

**Grzanki z sokiem, albo konfiturami.** Obetrzeć na tarce ze skórki długą bułeczkę, pokrajać na plasterki grubości palca. Na chwilę przed smażeniem maczać każdą grzankę w mleku, poczem w rozbitym jajku i skraćać w tartej bułeczce. Smażyć na obfitym smalcu, rumieniąc na złoty kolor z obydwóch stron. Wydawać wprost z natelni, osączając z tłuszczu na bibule. Posypać powierzchnię cukrem z wanilią, podać do grzanek sok, konfitury, albo marmeladę owocową.

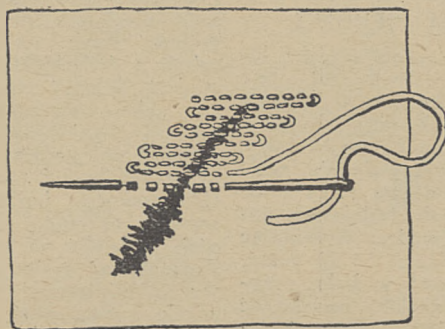
Melba.



Sposób cerowania miejsca przetartego.



Cerowanie rozdarcia po prostej nitce.



Cerowanie rozdarcia skośnego.

Nie dosyć jest umieć szyć z nowego materiału, trzeba także posiadać umiejętność podtrzymania starego, a przez to samo zachowanie jak najdłużej w całości bielizny i ubrań.

Są dwa sposoby reparacji: cerowanie i łątanie. Cerowania używamy w razie przetarcia lub osłabienia nitek, pęknięcia, czy rozdarcia materiału; łątania — kiedy

zniszczone doszczętnie tkanki muszą być wycięte i zastąpione łątą z tego samego (o ile można) albo najpodobniejszego materiału.

Są trzy sposoby cerowania: gładkie czyli płócienne, deseniowe i ukryte. Do najczęściej stosowanego, gładkiego, używamy, zależnie od grubości i gatunku materiału, przędzy, odpowiedniego numeru atlasu lub nitek, wy-

ciąganych z nowego kawałka płótna albo batystu. Węlnę ceruje się również nitką, wyciągniętą z materiału, z jakiego jest uszkodzony przedmiot, a w razie niemożności — z najbardziej podobnego kolorem i gatunkiem. Za zasadę przyjąć należy, że dopóki używamy danych ubrań i bielizny, resztki z nich skrzętnie chować należy.

Cerowanie zwyczajne, czyli płócienne, powinno być znane każdemu, stanowi bowiem codzienną potrzebę. Znajomość ta jest niezbędna do utrzymania garderoby w porządku. Wszystko ceruje się po lewej stronie; miejsce, przeznaczone do cerowania zasnuwa się przedewszystkiem nitką, uważając, aby nie przyciągać jej zbyt mocno, a na zakrętach zostawiać małe pętelki dla uniknięcia ściągania materiału, zwłaszcza przez skurczenie się nitki w praniu. Aby do tego nie doszło, trzeba przed użyciem sparzyć bawełnę, a nawet kawałki z których mamy wyciągać nitki do cerowania, zeprać w gorącej wodzie.

Robotę zaczynamy mniej więcej na odległość jednego centymetra od uszkodzonego miejsca, robimy wokół szeregu drobnych ścieżków, nabierając na igłę jedną lub najwyższe dwie nitki, przeciągamy nitkę przez puste miejsce, odpowiednio przygotowane; to samo robimy po przeciwnej stronie, pilnując, aby przy przedłużeniu nitki szły idealnie prosto. Za powrotem robimy ścięgę miłąne, to znaczy wkładając igłę tak, aby ścięgi, które były na wierzchu, zostały pod snodem, i naodwrot. Zasnuwszy dziurę, w powrotną stronę robimy to samo, z tą różnicą, że zbieramy na igłę po jednej nitce. W obydwie strony nitki powinny być tak rozmieszczone, aby no skończeniu roboty cera była tej samej grubości, co materiał.

Jeżeli uszkodzenie jest po prostej nitce, przybliżamy do siebie oba brzegi, rozciągamy sztywno materiał na kawałku grubego papieru lub ceratki i cerujemy go, wkładając igłę z dołu na górę, tam i z powrotem, zależnie od grubości materiału, na 3 — 4 cm. z obydwóch stron rozdarcia. Jeżeli rozdarcie jest skośne, trzeba przedewszystkiem ściąć delikatnie żyłką wysienianą brzości zbliżyć je równo ze sobą, a następnie cerować sposobem poprzednio wskazanym, pilnując, aby materiał nie ściągano, a nitki układać tak, żeby się nie miały.

H. Z.

TREŚĆ NUMERU: Do Czytelniczek. 1935 — 1936 — *Zofja Popławska*. Dom pod przyjazną ręką — *Marja Dobrowolska*. Pomnik pracy i dobrej woli — *Irena Szczepańska*. Uzurpator — powieść — *William Locke*. Gałązka Jemiół — nowela — *Jadwiga Chamiec*. Jubileusz Zachęty — *J. Puciata-Pawłowska*. Ada Sari — *J. Surynowa Wyczółkowska*. Rozmowy literackie — *Zofja Miszewska*. Państwowa Nagroda literacka. O racjonalny teatr dla dzieci — *Kl. Solonowiczówna*. T. K. K. T. dla dzieci — *Alina Kwiecińska*. W domu z czerwonych cegieł — *K. Tuwanówna*. Jeden długi i piękny dzień — *H. Iwaszkiewiczówna*. Boks — *Zofja Relus Lipkowska*. Moda karnawałowa — *Well*. Kobieta bez wieku — *B. Abramska*. Drobniactwo. Cały świat nosi fresco — *Halina*. Len wileński. — *Mar. Dobr.* Kosmetyka w służbie karnawału — *Magdalena Poznańska*. Kofnierzyk i mankiety z filcu. Serwetka z kolorowego płótna. Bal kostjumowy — *Ewa*. Jak odżywiać niemowlęta — *dr. F. K.* Półki do książek. Nakaz chwili — *p. Elżbieta*. Balkony w zimie — *inż. J. Wojciechowska*. Sól — Jajka na twardo. Jadłospis tygodniowy skromny i dostępny — Przepisy kulinarne — *Melba*. Cerowanie — *H. Z.*

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

WYDAWCA i REDAKTORKA: za Komitet Organizacyjny Kobięcej Spółdzielni Wydawniczej — *Zofja Petersowa*.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Okólnik 11-a, tel. 666-35.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 mm. 1 szpaltowy w dziale 3 łamowym 75 gr., cała strona 550 zł.; w dziale 4 łamowym 50 gr., cała strona 495 zł.





1. SUKNIA WIECZOROWA Z JASNO-ZIEŁONEJ MORY. BUTONIERA W SZARO-LILA TONIE.
2. SUKNIA BALOWA Z CZARNEGO CLOQUE-FANTAZYJNE RĘKAWY.
3. SUKNIA BALOWA KOLORU KOŚCI SŁONOWEJ – DÓŁ PLISOWANY.
4. SUKNIA WIECZOROWA Z BIAŁEJ TAFTY.
5. SUKNIA WIECZOROWA MARSZCZONA Z ŻAKIEM.
6. SUKNIA JEDWABNA PRZYBRANA KWIATAMI Z AKSAMITU.

\*

PIĘKNY MEBL OKO PIĘŚCI, MIESZKANIU DO-  
DAJE TREŚCI I PODKRĘŚLA WDZIĘK NIEWIEŚCI.  
MEBLE: NOWY ŚWIAT TRZYDZIEŚCI.



1.

2.

3.

6.

4.

5.



1. CZAPKA I SZAL ZROBIONE NA DRUTACH  
W KOLORZE RDZAWYM I CYTRYNOWYM.  
MODEL FIRMY JANE BLANCHOT.

2. KOMPLET NARCIARSKI - CZAPKA I SZAL  
Z GRUBEGO BIAŁEGO SUKNA. MODEL FIRMY  
LEON.

3. CZAPKA I SZAL Z CZARNEJ TAFTY POSZY-  
WANE WELNĄ W KOLORACH: BIAŁYM, SZAFI-  
ROWYM I CZERWONYM. WYKOŃCZONE FREN-  
DZLĄ, W TYCH SAMYCH KOLORACH. MODEL  
FIRMY JANE BLANCHOT.

